

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

026625/1945

dublet

026625

**PAMIĘTNIK
LITERACKI**

**SZWAJCARIA
MAJ 1945**



PAMIĘTNIK LITERACKI

Przy poparciu
FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ
wydała
BRATNIA POMOC OBOZU UNIWERSYTECKIEGO
WE FRYBURGU

KOMITET REDAKCYJNY :

Przewodniczący : ALEKSANDER CZESŁAW MELEŃ
Członkowie : JANUSZ TEODOR DYBOWSKI
ZYGMUNT ESTREICHER
EUGENIUSZ LUKAS
ZBIGNIEW MAŁECKI
MIECZYŚLAW SANGOWICZ
Sekretarz : ALEKSANDER WOJCIECHOWSKI

Ogłoszenie artykułu w « Pamiętniku Literackim » nie oznacza, że Redakcja podziela poglądy jego autora. Wszystkie prace zamieszczone w Pamiętniku są wyrazem zapatrywań osobistych ich autorów. Redakcja uważa za wskazane dać możność swobodnej wymiany poglądów, stawiając jedynie wymogi odnośnie poziomu intelektualnego samych wypowiedzi i ich zgodności z uczciwą troską o dobro Narodu Polskiego.

Na prawach rękopisu.

**PAMIĘTNIK
LITERACKI**

**SZWAJCARIA
MAJ 1945**

SPIS RZECZY :

ZYGMUNT ESTREICHER :	<i>Pro domo sua (Zamiast słowa wstępnego)</i> . . .	5
JERZY GAJEWSKI :	<i>Suplikacja bolesna na Święto Żołnierza Polskiego,</i> <i>15 sierpnia 1944 r.</i>	10
ALEXANDER KORCZYŃSKI :	<i>Kresowy polonez.</i>	11
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Ostatnia defilada</i>	17
DR. JANUSZ T. DYBOWSKI :	<i>Boy odbrazowany</i>	18
DR. KONSTANTY REGAMEY :	<i>Kryzys sztuki współczesnej</i>	23
JERZY GAJEWSKI :	<i>Westchnienie strzeliste nad polityczną debatą</i> <i>w lutym 1943 r.</i>	38
JERZY BRZozowski :	<i>« Hitler m'a dit... »</i>	39
BRONISŁAW MIAZGOWSKI :	<i>Wiatr od wschodu.</i>	40
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Wolanie z rozdroży</i>	41
EUGENIUSZ LUKAS :	<i>Inteligencja polska na cenzurowanym</i>	42
MIECZYSLAW ZAWADOWSKI :	<i>Czerwone wspomnienie.</i>	56
DR. IGNACY CZŁOWIEKOWSKI :	<i>Apostata marksizmu.</i>	60
MIECZYSLAW SANGOWICZ :	<i>Krótkometrażówka historyczna.</i>	71
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Moja filozofia.</i>	77
JERZY BRZozowski :	<i>Jesienna wyprzedaż</i>	78
ANDRZEJ CZYŻOWSKI :	<i>***</i>	79
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Syn marnotrawny</i>	80
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Szaruga</i>	80
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Akrobacje lunatyczne.</i>	81
RYTA ROŚCISZEWSKA :	<i>Niby</i>	81
KRZYSZTOF JAŁOWIEC :	<i>Niebo w peruce.</i>	82
JANUSZ KUCHARSKI :	<i>Na brzegu szklanki</i>	82
LEON CHRZANOWSKI :	<i>Przez ulice Warszawy</i>	83
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Dwie jesienie</i>	90
JANUSZ TEODOR DYBOWSKI :	<i>Jak Wojtek Dębowy wykierował się na borowygo</i> <i>(Opowiadanie w gwarze kaliskiej).</i>	91
WŁADYSŁAW ŁUCZAK :	<i>Drzewa jak ludzie.</i>	97
	<i>Treść poprzednich tomów « Pamiętnika Literackiego »</i>	98

PRO DOMO SUA

(Zamiast słowa wstępnego)

Na początku był nastrój Odrodzenia.

Pojawił się on wtedy, kiedyśmy w listopadzie czterdziestego roku przyjechali do obozu uniwersyteckiego we Fryburgu. Każdy z nas przeżył poprzednio ciężki rok, taki rok, który przemienia życie człowieka. Rok porażek i strat, rok rezygnacji z dawnych dążeń i budzenia się nowych idei; a obok tego rok przygód, w które porwał nas szeroki wiatr historii, a obok tego rok samotnego błakania się w tłumie; rok, przez który oczy i uszy chłonęły nowe wrażenia, przez który pracowała pamięć, ale przez który mózg był beczynny. Przez rok ten byliśmy wyrwani z naszego środowiska. Dostaliśmy się pomiędzy innych ludzi, takich, których przedtem prawie nie znaliśmy. Warto, bardzo warto było ich poznać, nabrać wiedzy o nich, nabrać szacunku dla nich. Wspólna była nasza dola, te same dążenia, jednakie serca. Ale trudno było mówić z nimi o wszystkim. Oni umieli co innego a każdy z nas co innego; oni znali w tym samym języku inny zasób słów niż my. — Po takim roku przybył każdy z nas do Fryburga.

I tutaj znaleźliśmy się na nowo w środowisku ludzi o podobnym wykształceniu, ludzi dobrych czy złych, ale używających tego samego słownika co każdy z nas. Można było — po całym roku pierwszy raz — mówić, będąc w pełni rozumianym i słuchać, rozumiejąc wszystko. Tutaj naraz przypomniał sobie, że mowa ma nie tylko wojskowe znaczenie, to jest ma nie tylko być zapowiedzią czynu lub opisem faktu, ale że jest także obrazem procesu myślenia i że jest także jednym z instrumentów służących pięknu. — To niespodziewane, radosne przypomnienie najbardziej oczywistej niegdyś prawdy padło u nas na niespokojne umysły. Jak marynarz, który wylądowawszy po długiej podróży dziwi się, że ziemia mu się jak okręt pod nogami nie chwieje, tak my, zatrzymani przez pędzący nas los we Fryburgu nie mogliśmy uwierzyć, że osiedliśmy na kilka lat na lądzie stałym. Jeszcze czuliśmy w sobie niespokojny pęd wędrówki i czekaliśmy na dalszy ciąg podróży.

Kiedy dziś patrzymy wstecz, widzimy poprzez oddalenie czterech i pół smutnych, postarzających człowieka lat te dwa wielkie, nowe uczucia, które nas wtedy ogarniały, a z których nie zdawaliśmy sobie sprawy: radość i niepokój.

Czuliśmy radość, bo się na powrót w każdym z nas odrodził człowiek myślący indywidualnie. Spostrzegaliśmy na nowo samych siebie, odkrywaliśmy zapomniane własne myśli przedwojenne i przetwarzaliśmy je, sami przetworzeni przez wojnę. Mózg leżący dotychczas odłogiem zaczynał pracę, usta dotychczas milczące według wojskowej konieczności mogły nareszcie mówić. Chcieliśmy

rozmawiać, słuchać, dyskutować, chcieliśmy pisać; było tyle do opowiedzenia, było tyle kompleksów do rozładowania, było tyle trosk i tyle nadziei do udzielenia innym i do otrzymania!

Czuliśmy niepokój, bo myśleliśmy, że Fryburg prędko minie w naszym życiu; że minie, zanim zdołamy nasycić się jego atmosferą, którą samiśmy stworzyli. Wierzyliśmy, że lada tydzień a może lada dzień rozejdziemy się. Kiedyśmy wyjeżdżali na pierwsze z pięciu kolejnych prace wakacyjne, wierzyliśmy — naiwni —, że potem już nie wrócimy do Fryburga. Jak człowiek bardzo głodny, który obawia się, że będzie musiał wstać od stołu, zanim się nasyci, tak i my czuliśmy niepokój, że będziemy musieli stąd odejść bez pełnego wyładowania się.

Śpieszno nam było nacieszyć się mową. Studia — owszem, trwały, rozwijały się, zapępniały czas. Ale głównym naszym dążeniem było wyzyskać obecność innych ludzi, by móc wobec nich wypowiedzieć się, by móc dzięki nim gimnastykować umysł w dyskusjach, by móc w nich mieć słuchaczy i czytelników. Było w nas coś ze ślepca, który przejrzał i który światu dość napatrzeć się nie może i było w nas coś ze suchotnika, który śpieszy się, by jaknajwięcej zdziałać przed utratą sił.

W tej gorączkowej atmosferze wybucha twórczość literacka. Co dwa tygodnie urządza się wieczory artystyczne; trudno jest pomieścić w nich cały materiał. Ludzie piszą i ludzie chcą mówić, chcą czytać i chcą słuchać. Nie wszystko jest dobre; owszem, dużo jest nieudolności; ale wszystko jest tak samo spontaniczne i szczerze. I wtedy, na marginesie naszego życia, powstaje « Pamiętnik Literacko-Naukowy ». Pierwszym jego celem jest być naprawdę tylko pamiętnikiem: zachować coś z tego życia, które tętni i mija. Numery początkowe — marzec i lipiec 1941 roku — pojawiają się tylko jako zanotowanie dla pamięci tematów dyskusji, które prowadziliśmy i jako spisanie wierszy i prozy, których słuchaliśmy na naszych wieczorach w żywym słowie.

Trzeci numer, który wyszedł w końcu tegoż roku, już nie jest obrazem pierwszych porywów renesansowej radości twórczej początkowego okresu pobytu we Fryburgu. Odczuwa się w nim pewnego rodzaju barok; nie barok przeladowania bogactwem formalnym, ale barok braku bezpośredniości, barok wysiłku twórczego, wysiłku wymuszonego. Twórczość pierwszego okresu wybuchła jak rakietą — i jak rakietą zgasła.

Nie odrazu zdaliśmy sobie sprawę, że mija nasz zapal. Zapal i młodość są niestałymi kochankami, których odejścia się nie widzi. Poznaje się ich brak dopiero po własnej nudzie lub po własnym smutku.

Nam poprostu zaczęło być nudno ze sobą. Spostrzegliśmy, żeśmy się dosyć poznali. Zaczęliśmy tęsknić za nowymi zdarzeniami; ale te się nie pojawiały. Każdy z nas sobie mówił: miło mi było poznać tego czy tamtego, miło było pogadać — ale pozostać przymusowo w ich towarzystwie przez długi czas? nie,

tego mi się nie chce. — A oprócz tego zmęczyliśmy się. Struna została przeciągnięta. Rozeszło się po Polakach w Szwajcarii, że tu we Fryburgu piszą wiersze, że tu jest « środowisko », że tu wydają kwartalnik — i zaczęliśmy otrzymywać wizyty. Było nam miło mieć u siebie gości; wiemy, że i im z nami było dobrze, bośmy się zaprzyjaźnili. Ale jedną z naczelnych wad Polaka jest to, że stara się wydawać swemu otoczeniu choć o odrobinę lepszym, niż jest w rzeczywistości. I myśmy ten błąd popełnili. Chcieliśmy za wszelką cenę za każdym razem wprowadzić nastrój « artystyczny », « intelektualny », nastrój, który czasami rodził się sam, ale którego kiedy indziej wymuszać nie powinno się było. Zaczęliśmy grzeszyć brakiem prostoty. Nasza wina. Urządzaliśmy pokazowe wieczory literackie. I to był błąd. Staraliśmy się z wysiłkiem stworzyć atmosferę, choćby jej nie było, staraliśmy się odświeżać minione, jednorazowe wzruszenia, budzić to, co już zasnęło i nawet wskrzeszać to, co — słusznie robiąc — umarło. Autor i recytator ten czy ów otrzymywali od gości komplementy coraz bardziej konwencjonalne, coraz mniej zasłużone i coraz bardziej zachęcające do spoczynku na laurach. Wewnętrzna potrzeba twórczości gasta.

W tym okresie zachodzą dwie zmiany w naszym życiu. Pierwsza to powiększenie obozu. Przybywają ci, którzy pragną nauki; są to młodzi z Wetzikonu i starsi z obozów żołnierskich. Ale równocześnie przybywa wielu zaradnych poszukiwaczy ciepłych łóżek, osobnego pokoju i przepustek na używanie cywilnych ubrań. I od razu reszta atmosfery ginie. Przedtem byliśmy małą, zgraną grupą ludzi, którzy zapominali o wieku, stopniu i tytule. Mówiliśmy sobie niemal wszyscy « ty ». A teraz natłoczony obóz podzielił się na « nowych », « starych », « studentów », « asystentów », « oficerów », « szeregowych » itd. Dużo rzeczy dobrowolnych stało się obowiązkiem. — A druga zmiana w naszym życiu to podniesienie dyscypliny wojskowej. Wśród szczęku broni muzy muszą milczeć, a jeśli im mimo wszystko nakaże się mówić lub śpiewać po przyjęciu t. zw. « postawy zasadniczej » — wtedy się jękają a śpiew ich brzmi nieczysto. Pamiętamy roboty wakacyjne w Zalön...

Wreszcie w tymże samym okresie studia zaczynają nas bardziej absorbować niż poprzednio.

I tak się złożyło, że w 1942 roku « kwartalnik » pamiętnik literacko-naukowy nie wyszedł. Może i dobrze się stało.

Może się stało dobrze, bo mogliśmy nabrać nowego oddechu, powrócić do równowagi po wzlocie i upadku. Życie uregulowało się powoli na zewnątrz. Ale zaczęło nam być coraz ciężiej wewnątrz; każdy miał coraz więcej osobistych — i nie osobistych — smutków, a coraz mniej odporności nerwowej. W takiej atmosferze rodzi się czwarty pamiętnik w maju 1943 roku. W części naukowej jest mowa o sprawach aktualnych i mających stać się aktualnymi; literatura przeżywa jeszcze dawne wspomnienia. Sprawy teraźniejsze i przyszłe niepokoją, zastanawiają albo bolą; nie mogą się one stać narazie tematem wiersza.

Jest nam źle w Szwajcarii. Jesteśmy na marginesie życia. Czujemy się gorsi od innych, którzy albo cierpią albo walczą. Spokój zewnętrzny ciąży nie do zniesienia. Już nie można się oprzeć chęci jakiegokolwiek czynu. Wojna się zbliża ku Szwajcarii. Trzeba odchodzić. Trzeba żyć! Trzeba się poświęcić na nowo wielkiej sprawie albo przynajmniej wielkiej przygodzie. Trzeba działać, albo trzeba samym procesem działania tak się zaabsorbować, by nie myśleć. Po obozie krążą szepty, pogłoski, toczą się narady. Już wszyscy wiemy: za parę tygodni nas ubędzie. Już słyszymy: paru kolegów naszych, tych których widać jeszcze na wspólnych fotografiach, — padło. Nam nie wolno być tchórzliwymi « ocalaczami inteligencji ». Niepokój. Niepokój przygnębiony. Źle jest iść na wojnę, kiedy nikt nie żegna, kiedy się nie wie, czy z kości poległych powstanie do Ojczyzny most. Tym niemniej trzeba iść. We Fryburgu jest za duszno i za ciasno i za bezczynnie. A przed odejściem zostawmy po sobie jeszcze parę hasel i parę wierszy.

A inni mówią: zostańmy. Minął najcięższy okres wojny, kiedy trzeba było ludzi. Teraz jest ich dużo. I teraz « WOJNA STRACIŁA CHARAKTER IDEOLOGICZNY », według Churchilla, teraz się wojna toczy niewiadomo o co. Teraz nie armaty grają, teraz gra polityka. Wojna jest już rozstrzygnięta, nawet gdyby ją od razu przerwać. Więc poco iść. Ci co pójdą, zyskają na wolności osobistej ale tracą czas, bo znowu się stłoczą w obozach oczekiwania na niewiadomo co. Lepiej pracujmy na miejscu, bo to jest napewno potrzebne. — Tak mówią inni — ale na odchodzących patrzą z zazdrością i z niepewnością, czy to nie ci odchodzący lepszą część obrali.

Z tych nastrojów rodzi się przedostatni, piąty pamiętnik — czerwiec 1944. Jest on pierwszym numerem opatrzonym zastrzeżeniem redakcji, które przedtem nie było potrzebne: « ... artykuły polityczno-społeczne są wyrazem opinii autorów a nie redakcji... chcemy dać możność swobodnej wymiany poglądów na łamach... jedyne dwa kryteria — to poziom intelektualny i uczciwa troska o dobro narodu polskiego ». Czy to stanowisko redakcji jest odważne i celowe? Tak — odpowiadają redaktorzy. W chwili wielkich decyzji i wielkich przełomów poglądy ludzi muszą się zaostreć i muszą się rozwijać, bo spostrzega się nieznanne aspekty znanych zjawisk, bo nowe zdarzenia rodzą nowe potrzeby. Więc poglądy poszczególnych jednostek muszą być sprzeczne. Tylko sprzeczność poglądów pomaga do poznania możliwie obiektywnej prawdy. Nasz pamiętnik ma być demokratyczną trybuną; redakcja ustala kolejność przemówień na trybunie ale nie wpływa na ich treść. Można to stanowisko traktować jako « ostrożność » osobistą redaktorów; ale to nie będzie słuszne. Deklaracja redakcji wynika z chęci pogodzenia wszystkich kontrastów w jednym celu, którym jest Polska. Dla dobra tego nadrzędnego celu szanujemy każdy uczciwy choćby niepodzielany pogląd. Tak odpowiada redakcja na pytania zrodzone przez zagadnienie chwili; a to zagadnienie dotyczy powstania naszej największej troski osobistej: niepokojnego szukania drogi ku przyszłości.

Wojna się kończy. Dobrze, że się kończy. Już świat jest u kresu sił a wraz z nim nawet i my, choć schronieni w parafialnym, prowincjonalnym, cichym Fryburgu. Czekamy na decyzję o naszym losie, która zapadnie bez naszego udziału. Już tylko parę tygodni może, a wszystko się skończy. Może trochę więcej, może trochę mniej. A co potem będzie — nie wiemy. Tylko jedno możemy przewidzieć; że nigdy potem nie ukaże się dalszy numer pamiętnika obozu Fryburg. Tym razem już na pewno nastąpi koniec tego okresu naszego życia, który z początku był taki, żeśmy go chcieli zachować w pamięci, a dziś, kiedy się kończy, chcielibyśmy go móc zapomnieć.

Ostatni numer pamiętnika niech się zamknie na okresie internowania jak drzwi od pokoju, w którym przeszło się ciężką chorobę. Opuścamy ten pokój bez żalu ale z pewnym rozgoryczeniem. Nie chcemy do niego wracać teraz, dopóki nie wyzdrowiejemy całkiem. Może wrócimy do niego pamięcią kiedyś później, wtedy kiedy na wszystko leżące w przeszłości będzie się patrzyło z pewnym wzruszeniem przez pryzmat myśli: « Mój Boże — wtedy byłem jeszcze młody — ». Ale teraz odpychamy od siebie ten okres, co upłynął, zamykamy za nim drzwi. Zamykamy je niemal wszyscy wspólnie. Czujemy obecność przy nas nawet i tych, którzy się już oderwali od nas i rozproszyli gdzieś po Francji i Anglii i tych, którzy rozpoczęli już swój marsz z ziemi włoskiej do Polski.

Ale są z nami i nowi ludzie, tacy, dla których obecny numer pamiętnika nie jest zamknięciem pewnej przeszłości. Dla nich nasz pamiętnik jest jednym z tych pism polskich, które pojawiają się zawsze i wszędzie tam, gdzie są Polacy. Jest on dla nich jednym z objawów tej polskiej działalności, która w różnych formach trwa zawsze, póki my żyjemy. I w tym sensie obecny numer naszego pisma nie jest ostatnim. Jest jednym z kolejnych ogniw w niekończącym się łańcuchu. W przyszłości pojawi się coś innego, co będzie takim samym objawem myśli tych samych — lub nie tych samych — ludzi, ale tym razem w jakichś nowych warunkach. Wierzmy, że w Kraju. Jak sobie wyobrażamy czasy, które nastąpią? Tego dziś nikt z nas nie umie powiedzieć. Każdy ma inne przecucia i projekty. Dotychczas mieliśmy wspólny los — ale później każdy z nas będzie musiał szukać na własną odpowiedzialność własnego losu. Jakakolwiek będzie przyszłość — my chcemy z nią współdziałać, tworzyć ją i w niej żyć, po odsunięciu od siebie przeszłości internowania. Dlatego obecny numer pamiętnika jest nie tylko zamknięciem pewnego okresu, ale także otwarciem okresu nowego.

Niech się ten numer stanie dla nas arką przymierza między dawnymi a nowymi laty.

Fryburg, Kwiecień 1945.

ZYGMUNT ESTREICHER.

SUPLIKACJA BOLESNA NA ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO,
15 SIERPNIA 1944 r.

« Czyż myśli każdej — każdej myśli prawie
Uczyć się trzeba ciągłymi ofiary :
Patryjotyzmu — na bruku w Warszawie,
A chrześcijaństwa u krwawych wrót Fary... ? ! »
(C. K. Norwid, Do wroga-pieśń, 1863.)

« O! Ty, młodości mej stolico;
Z bruku twego radbym mieć kamień,
Na którym krew i łza nie świecą ! »
(Dedykacja, 1863.)

Pieśń to niewesoła — —

Norwidowa Warszawo, męczeńską krwią czarna
co najlepszych swych dzieci, oto w relikwiarzu
twoich ulic rozbitych burzy się, i woła
ta krew o pomstę nieba ! jak wróżba ofiarna
na antycznym ołtarzu. Pieśń to niewesoła — —
Norwidowa Warszawo !
— —

Ze wszystkich stron złe moce mocią się z tobą
na ruinach wielkości, wielkości symbolu !
Okryci czarną myślą, jak gęstą żałobą,
widzimy cię dokładnie w jasnej aureoli
pożarów, w wieńcu dymów na czole, i w męce
o wolność, która wieńczy cię męczeńskim wieńcem — —
I sławą !

Miasto, czy serce nasze ! Jeśli przeznaczeniem
całego jest narodu cierpieć ponad miarę,
a do wolności prosto wiedzie tylko droga
przez bezcenną ofiarę, i męczeński wieńiec, —
przecie dalej uparcie wołamy do Boga,
ale nam ześlij, Panie, jak anioła — wiarę
w to męczeństwo !
Warszawo !
— —

Pieśni niewesoła !

JERZY GAJEWSKI.

KRESOWY POLONEZ

Wygłoszone zamiast przemówienia na zebraniu towarzyskim żołnierzy Obozu Uniwersyteckiego, pochodzących z kresów wschodnich Rzeczypospolitej, we Fryburgu w lipcu 1944 r.

Kto inny może, ktoś, komu w dzieciństwie wody Wilji czy Dźwiny cicho szemrały stare legendy polsko-litewskiej krainy, baśń o Ziemi Wileńskiej czy Nowogródzkiej spróbuje opowiedzieć.

Mnie niech wolno będzie snuć rozmowę z moją własną ojczystą krainą, co od wieków i przez wieki perłą była w koronie Rzeczypospolitej i co jej bastion południowo-wschodni stanowiła.

Niech mi wolno będzie, jako temu

który świat ujrzał na dalekiej Ukrainie w dworku, co bardziej futorem kozackim, niżli pańskim dworem był;

któremu nianka tęskne dumki ukraińskie nuciła do snu kołysząc — sama zasłuchana w dobiegający z dali poszum wiatru od stepów;

któremu głos Boga objawił się po raz pierwszy tysięcznym echem dzwonów polsko-ruskiego Kijowa;

który wyrósł i wychował się w najukochańszym, najcudowniejszym mieście zawsze wiernym;

i w którego wychowaniu równy udział miały: rozśpiewana lwowska ulica i dostojne mury Almae Matris Joanneo-Casimirianae Leopoliensis i szacowna cisza pracowni Ossolineum.

Niech mi wolno będzie, jako przedstawicielowi malejącej z pokolenia w pokolenie garstki tych, których ongiś mianem gente ruthenus, natione polonus określano.

* * *

Wczoraj wróg światu obwieścił, że Lwi Gród to urdeutsche Stadt...

Dziś sprzymierzeniec, co z naszej woli i z naszego błędu, połowę tej krainy dzierzył, po drugą jej połowę sięga, głosząc, że to istinno russkaja ziemia...

Dziś nawet wśród swoich znajdują się coraz częściej tacy, którzy przeciwstawiają « nierealnym » synom tej ziemi swój « trzeźwy » pogląd, głoszący, że my w tej krainie obcymi jesteśmy przybyszami, cienką warstwą wierzchnią Herrenvolku nad obcym ludem, że cofnąć nam się trzeba do czysto polskiej

bazy narodu — na zachód! I opuścić wschód! I oddać tysiącletnim, krwawym, znojnym trudem budowany dorobek cywilizacyjny na łup...! Przejrymarczyć w jarzmo niewoli tę krainę, co ukochała wolność i swobodę nadewszystko — najdumniejszą z ziem Rzeczypospolitej!

Kraino Grodów Czerwieńskich, Wołynia, Podola i Ukrainy,

Kraino Dzikich Pól,

Kraino Matki Boskiej z Jazłowca,

Kraino największego, wielowiekowego eposu dziejów naszych,

Kraino szlaku tatarskich ord,

Kraino czarnoziemiu, stepu i połoniny,

Kraino kurhanów,

Kraino cmentarza orląt,

Kraino zadwórzańskich Termopil,

Kraino tarniny, głogu, czeremchy, ostów i burzanów,

Kraino wielu języków i wiar,

przemów w swej obronie i daj świadectwo prawdzie!

A gdy nie starczy głos Twych żywych synów, by świadczyć — niech powstaną prochy umarłych! Niech przemówią prochy, których tak wiele nagromadziła Twa ziemia przez wieki.

Z grobowców wspaniałych w podziemiach kościołów i cerkwi, z kurhanów i cmentarzysk, z mogił zapomnianych, zagubionych, burzanem i ostami porośniętych, rozsianych od Lwowa po Krym, powstają cienie:

Idą. Długi, niekończący się szereg. Wszyscy: zarówno wielcy i potężni, jak mali i skromni tego świata. Idą pospołu. Ci, którym Rzeczypospolita czoło koroną królewską przyozdobiła. Dumni książęta-magnaci, bojarowie, hetmani, kanclerze, wojewodowie, kasztelani. I atamani kozaczyzny. I czerń pospolita. I szlachetkowie polsko-ruscy. Rajcy miasta Lwowa, dostojni patrycjusze i lyki zwyczajne miejskie. I ministrowie potężni habsburskiej monarchji. Profesorowie i uczeni. Poeci, pisarze, malarze. Generałowie i szeregowcy. Delikatne panięta — potomkowie tych pierwszych magnatów pospołu z batiarami lwowskiej ulicy.

Korowód barwny, gdzie miesza się z sobą kolory wspaniałych delij i kontuszów, fiolety biskupie, czerń mieszczkańskiego przyodziewku, barwne ludowe stroje, błysk orderów i srebrnych sznurów generalskich, togi profesorskie, błękit legionowej bluzy, amarant ulańskich wyłogów i jednostajność khaki munduru.

Otwierają ten pochód obcy, co w epoce zamierzchłej dziejów najdawniejszych pierwsze świadectwa polskości tych ziem dali:

Jornandes co w wieku VI stwierdził, że Dniestr stanowi granicę między Słowianami zachodnimi, a wschodnimi.

Konstantyn Porfirogeneta, który w X wieku pisał, że ludy Polski docierają do ziem od Zgnitej Lipy do Seretu i Zbrucza.

Sędziwy kronikarz ruski Nestor, co pod datą roku 981 zanotował, że Włodzimierz wyprawił się na Lachów, aby im zabrać Grody Czerwieńskie.

Oto *Andrzej włodzimierski i Lew II halicki*, co broniąc tej krainy na czele wojsk ruskich i posilków polskich przed Tatarami, giną, księstwa swe królom polskim w dziedzictwie zostawiając.

I zaraz za nimi: *Lubart książę na Łucku, Fedor Daniłowicz na Ostrogu, Fedor Lubartowicz na Włodzimierzu i różni Monasterscy, Bybelscy, Buczaccy, Kierdejowicze.*

Oto liczne zastępy rycerzy polskich i ruskich, synów tej krainy, co w bitwie wielkiej nad Worskłą w 1399 roku pokotem legli, zagradzając Tatarom drogę do swej ojczyzny.

I wielki hetman litewski, największy magnat Ukrainy, książę *Konstanty Ostrogski*, zwycięski wódz z pod Orszy i Wiśniowca.

Długi szereg książąt i magnatów ruskich, członków rodzin, co Rzeczypospolitej wielu sławnych mężów, wielkich wodzów, synów najlepszych dostarczyły: *Ostrogscy, Sanguszkowie, Wiśniowieccy, Zastawscy, Sapiehowie, Kiszkwie, Kisielowie, Pocięjowie, Koreccy.*

Pierwsi starostowie i namiestnicy kozaccy: *Ostafi Daszkiewicz, Przectaw Lanckoroński i książę Dymitr Wiśniowiecki.*

Idą pospół: przywódca pierwszego buntu kozackiego, Polak-mazowszanin *Krzysztof Kosiński* — i buntu tego największy wróg książę *Konstanty Bazyli Ostrogski.*

I biskup włodzimierski *Hipacy Pocięj*, biskup łucki *Cyryl Terlecki*, metropolita kijowski *Michał Rahoza*, biskup lwowski *Gedeon Bałaban* i biskup przemyski *Michał Kopystyński.*

Oto największy z hetmanów kozackich *Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny*, wierny sługa króla i Rzeczypospolitej.

Książę *Roman Różyński*, książę *Adam Wiśniowiecki*, *Jan Sapieha*, *Alexander Lisowski* i hetman kozaków dońskich *Zarucki*, co wspólnie Moskwę nachodzili.

Hetman wielki, wódz znakomity, *Stanisław Żółkiewski* i wierny jego towarzysz *Samuel książę Korecki.*

Kalinowscy, Stadniccy, Potoccy, Sieniawscy, Jazłowieccy. Stanisław Koniecpolski, zwycięzca z pod Sasowego Rogu i *Paniowiec. Stefan Chmielecki* zwycięzca z pod Białej Cerkwi i *Monasterzysk.*

Wódz buntu kozackiego, syn polskiego szlachcica z Mazowsza, *Bohdan Chmielnicki* i wróg największy kozaczyzny książę *Jeremi Wiśniowiecki*, rusin i schizmatyk. Hetman wielki *Mikołaj Potocki* i syn jego *Stefan. Jerzy Ossoliński* i *Adam Kisiel. Jerzy Lubomirski* i hetmani *Potocki* i *Lanckoroński.*

Następcy Chmielnickiego na hetmaństwie: *Jan Łuczyc-Wyhowski* i *Piotr Doroszenko.*

Oto królowie z ruskich rodzin: *Michał Korybut-Wiśniowiecki* i potomek Żółkiewskich i Daniłowiczów — *Jan III Sobieski.*

Obrońcy lwiego grodu — radny *Grozweyer* i generał *Krzysztof Arciszewski. Dostojni patrycjusze lwowscy Kampiani* i *Boimowie.*

Dalej Samuel Chrzanowski obrońca Trembowli. Hetman Jabłonowski oraz zwycięzca z pod Podhajec hetman Feliks Potocki. Metropolita Leon Kiszka.

Generalny starosta ziem podolskich generał Marcin Kątski. Wojewoda podolski Franciszek Dzieduszycki. Wojewoda bełzki Adam Sieniawski. Wojewoda ruski Jan Stanisław Jabłonowski.

Szermierz niezależności Ukrainy od Moskwy Mazała i polski jego protektor hetman Hieronim Lubomirski.

I długi szereg tych, co u schyłku Rzeczypospolitej, o przynależność tych ziem do Polskiej Ojczyzny, o niezawisłość państwa, a przeciw niewolniczemu oparciu o Moskwę walczyli: Piotr i Józef Sapiehowie, Jan Jabłonowski, Adam Stadnicki, Klemens Branicki, Adam Krasieński, Filip i Piotr-Grzegorz Orlikowie, Sawka Czajłyj, oraz Piotr, Mikołaj-Bazyli, Franciszek, Antoni, Michał, Józef, Teodor, Joachim i Prot Potoccy.

Biskup kijowski Józef Załuski, hetman Wacław Rzewuski i syn jego Seweryn, co obronę niezależności Rzeczypospolitej wyrwiezieniem do Kaługi przyplacili.

Twórca teatru polskiego we Lwowie Wojciech Bogusławski.

Metropolita ruski Teodozy Rostocki. Ostatni wojewoda kijowski Franciszek-Salezja Potocki.

I kozacy księcia Józefa, co wołali: « — Batku Josyfe! Na armaty wieść! »

Włodzimierz i Aleksander Potoccy, co walką o niepodległość grzechy ojca splanali.

Założyciel Liceum Krzemienieckiego Tadeusz Czacki i twórca Ossolineum Józef-Maksymilian Ossoliński.

Wodzowie powstania w 1830 roku na Wołyniu i Podolu: Wincenty Tyszkiewicz, Benedykt Kołysko i Karol Różycki.

Z krypty wawelskiej powstał królom równy Juljusz Słowacki, by za swym Krzemieńcem przemówić. A wokół stanisławowskiego więzienia krąży zmarły tam w austryjackiej turmie poeta Maurycy Gosławski.

Walerian i Władysław Łozińscy. Wincenty Pol. Bohdan Zaleski.

Członkowie tajnego Stowarzyszenia Ludu Polskiego we Lwowie: August Bielowski, Aleksander Morgenbesser, Franciszek Smolka, Florian Ziemiałkowski, Albin Dunajewski, Seweryn Goszczyński, Szymon Konarski.

Z Góry Stracenia we Lwowie zeszli Józef Kapuściński i Teofil Wiśniowski.

Oto dowódca Gwardji Narodowej we Lwowie w r. 1848 Roman Wybranowski i członkowie Rady Narodowej: Seweryn Smarzewski, Piotr Gross, drukarz Jan Dobrzański, rusini Krynicki, Ustyanowicz i Zubrzycki i żyd Abraham Mises.

Gubernatorzy Galicji: Wacław Zaleski, minister Agenor Gołuchowski, Andrzej Potocki, Leon Piniński. I ministrowie habsburskiej monarchji: Wojciech Dzieduszycki, Kazimierz Badeni, Leon Sapieha, Mikołaj Zybliekiewicz.

Z grobów cichych, otulonych zielenią soczystą lyczakowskiego cmentarza

powstali: Aleksander Fredro, Artur Grottger, Karol Szajnocha, Władysław Bełza, Ludwik Kubala, Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Oswald Balzer, Kazimierz Twardowski.

Opuścili katakumby marmurowe obrońców Lwowa i idą razem: generał Jan Thullie, generał Wacław Iwaszkiewicz, generał Tadeusz Rozwadowski, brygadier Czesław Mączyński, Aleksander Skarbek i generał, rektor, profesor dr. Leon Rydygier. I ci mniej znani: kadet korpusu kadetów, potomek hetmanów, Chodkiewicz, Władysław i Wacław Żmudczy i wielu, wielu innych. I ci o niepolskich nazwiskach: Roman Feldstein-Felsztyn, Jerzy Bitschan, Otto Forst-Battaglia i jakiś Meraviglia-Crivelli i któryś Barthel de Weydenthal. I lotnicy lwowscy Ludwik Idzikowski i Stefan Bastyr. I bezimienny batiar — dziecko lwowskiej ulicy.

Z dalekiego cmentarza nowojorskiego duch generała Wieniawy, wychowanka IV gimnazjum i lwowskiego uniwersytetu, przybył. I z Powązek warszawskich syn ziemi brzeżańskiej Edward Śmigły-Rydz. I z angielskiego cmentarza polskich lotników lwowskiej politechniki wychowanek — Władysław Sikorski. Kazimierz Bartel powstał z rowu niemieckiej kaźni.

Idą: ci z katyńskiego lasu i ci niedbale porzuceni po rowach gdzieś w dalekiej Syberji, w kraju jakutów czy kirgizów. I ci co zginęli w lasach karpackich do węgierskiej idąc krainy. I dziesięć tysięcy wymordowanych na Piaskowej Skale pod Lwowem... I wielu, wielu innych...

Przyszli, by dać świadectwo prawdzie:

że polski jest Lwów. Lwów w « którego obronie poległo od strzał tatarskich, od szabel tureckich, od kul moskiewskich i od bagnatów austriackich więcej ludzi niż miasto to dziś liczy mieszkańców! »;

że polski jest biały Krzemieniec. Krzemieniec Bony, Krzemieniec Słowackiego i Liceum;

że polski jest Kamieniec — bastion wielowiekowy Rzeczypospolitej;
I Trembowla i Łuck i Ostróg!

Może zdziwi kogoś, że tłum ten cały niezawsze polskim przemówi językiem, że wśród polskiego nierzadko usłyszy ruski, tatarski, ormiański a nawet serbski. I że cienie te Boga na świadka prawdy ich słów wezwą w modlitwie różnych wiar: rzymskiej, greckiej, ormiańskiej, prawosławnej, możeszowej a czasem i mahometańskiej. Ale niech wie każdy, że nie polskości małej świadectwo oni dają. Że przyszli świadczyć o przynależności tej krainy do Polskiej Rzeczypospolitej Narodów — ojczyzny wielkiej, mnogo-ludnej i mnogo-języcznej. Krainy wielu wiar i obrządków. Że polskość tu w tej krainie, to niekonicznie polski język i napewno nie polski kramik! To polskość ducha i najgłębszej jego kultury. Polskość tysiącletniego wysiłku cywilizacyjnego. Polskość przelanej krwi za wolność tej krainy w obronie przed jarzmem najeźdźców. To polskość myśli twórczej. To polskość wspólnej przeszłości historycznej. Przeszłości wielkiej, potężnej, wspaniałej. To polskość wspólnych losów i poczucia wspólnej misji dziejowej.

I to jest prawda, której nikt nie zmaże. Żaden traktat nie przekreśli!

I choć pod bombami spłonęły i rozsypały się w proch pomniki polskości Lwowa przez wieki pracowicie wzniesione, choć przewalająca się wojna zniszczyła Krzemieniec i mury stare Ostroga czy Dubna, i Buczacz i Tarnopol, choć runął już pewnie w gruzy ślad najdalszy polskości na wschodzie — biały pałac Brzozowskich w Odessie — to przecie polskość tych ziem zostanie!

Zostanie w poezji Słowackiego, Zaleskiego, Pola i Goszczyńskiego.

Zostanie w nutach, co w świat poszły z biało-czarnych klawiszy, dotkniętych palcami syna podolskiej ziemi Ignacego Paderewskiego.

Zostanie w wierszach syna Ukrainy, dziecka portowej odeskiej ulicy, laureata Polskiej Akademji Literatury, najwybitniejszego poety młodego pokolenia polskiego, Józefa Łobodowskiego.

* * *

A kto głuchy pozostaje na głos cieniów wielkiej przeszłości, ten pomniejszycielem własnej ojczyzny jest. I podobny jest człowiekowi, co dumnego, wolnego orła w klatce zamknąwszy, przy życiu utrzymać go pragnie. I nie rozumie, że w małej klatce zamknięty ptak ten zemrzeć musi. Tak i Orzeł polski od wieków nawykły do « zmiotania jednym skrzydłem szronów bałtyckiego, północnego wichru z wieżyc Gdańska i Malbarga, a drugim nawiewania ciepłych wiatrów z czarnomorskich limanów », zamknięty w klatce granic Polski małej zemrzeć musi! Kto tego nie widzi, ten prawdy dziejów Polski nie rozumie. Lub tchórzem i człowiekiem małym jest, bo boi się prawdzie tej spojrzeć w twarz. Ten w nikczemnej obawie w prochu się przed tą prawdą tarza, nie śmiejąc na nią podnieść wzroku. Prawdy, która mówi, że « my już musimy po wieczność wieczności żyć według jednego wzoru. Że my już nie mamy wyboru: Jutro będziemy znów wielcy — albo nie będzie nas wcale! »

ALEXANDER KORCZYNSKI.

OSTATNIA DEFILADA

Ostatni strzał zagrzmiął i w pustce się zgubił,
w jej głąb gdzieś zapadł, jak kamień w wodę.
Słońce fale po nim zapaliło w rubin
wici rozlicznych, znak dając narodom,
że czas by przybyli.

Niech zasiądą kołem :
według wielkości — bogactwa — zasługi,
bo właśnie czas nadszedł wszystkie spłacić długi...
Wielki czas... Już cisza jest nad Mokotowem...

Ostatni strzał przegrzmiął i w pustce się zgubił...

Cisza. Tylko wici płoną,
a przy nich mgliste tworzą się zastępy.
W tysiące, milion, urasta ich grono...
Już idą! Marszem równa się wąż kręty...

Przybywaj świecie licznie a gromadą,
Polska cię uczcić chce dziś defiladą...!
I patrz, patrz, oczyma z orbit wylazłymi,
patrz na defiladę majdankowych dymów —
na powrót do Warszawy miliona « walecznych » —,
na krok, którego nie znasz — w nim jest spokój wieczny.
Patrz, bo to nie koniec, to pierwsze szeregi,
za chwilę się Mokotów wypełni po brzegi :
bo przyjdą Ci z Katynia, z Norwegji, z nad Nilu,
z wszystkich kaźni sybirskich, z pod Monte-Cassino —
i pieśnią prawdy wreszcie twą podłość przestraszą,
bo wszystko się stało za waszą wolność — nie naszą!

Patrz, słuchaj, lecz w piersi się nie bij,
gdyż za późno się kajać na czyimś pogrzebie
lub łzami schlebiać, których nam nie trzeba,
te nie wzruszą mogił o pomstę wołających niebo.

Defiladą cię czcimy — boś nam wolność przyrzekł...
Defiladą — boś rozsiał nam po polach krzyże...
Defiladą się chcemy w twoją duszę wlepić —
byś się wdzięczności naszej nie pozbył na wieki!

Dziwisz się pewno, że w twarz ci nie plujem —
Nie! My hosanna śpiewamy, gloria, alleluja
i wici rozpalamy — znak na wielkie gody,
gdyż Chrystusem świata nie będziem —

Będziem Wallenrodem!

JANUSZ KUCHARSKI.

BOY ODBRAZOWANY

(Od zielonego do czerwonego balonika.)

« ... Vous n'auriez dans la vie que deux sortes d'ennemis : les imbéciles et les lâches... »

Stare, polskie przysłowie mówi : — najpierw wolnego, a potem oberka. Ale przysłowia są ponoć mądrością, a nikt nie rodzi się mędrce. Boy-Żeleński zaczął swoje życie od oberka, od oberka skoczego z prysiadami, z przyśpiewkami. Od słówka do słówka rozśpiewało się to pijane dziecko w krakowskiej mgłę ku przerażeniu wszystkich dewotek, bigotów, nabożnych klechów, którym ten śpiew psuł spokojny ich sen w małżeńskich łóżach z gospodyniami, ku przerażeniu konsystorskich dziewic i wszystkich, którzy mieli coś do ukrycia, aby nazewnątrz wystawić fasadę pobielanego grobu. Boy nie biczował, nie wyklinał, nie dobywał patosu, nie wspinał się na szczudła koturnu. Boy ścigał tylko fałszywą monetę. Pracy miał wiele, bo któż jej nie puszcza w obieg ? Jego zielony balonik miał wygląd raczej jeża, ubranego w iglastą skórę, kłującą wszystkich cnotliwych nadętkiewiczów, aż pękali z trzaskiem, od którego cała Polska trzęsła się ze śmiechu. Boy obdzierał swoje ofiary z czcigodnych, dostojnych szat szacunku społecznego i puszczał je nago na rynek ku ucieście gawiedzi. Jego ironia wybuchała niczym bomby z gazem rozweselającym. Gaz ten jest czasem niebezpieczniejszy od iperytu. Ma on właściwości transformujące. Czcigodne matrony przerabiał na rajfury, z panów nadradców robił półglówków, ze świętych świętoszków z bezczelnością swawolnego dziewczęcia, które z szarfy orderowej ekscelencji robi sobie biustonosz, a z rodziny Połanieckich domek publiczny. Takiej wszystko wolno. Zna swoją cenę. Znał ją i Dyzio swawolny, mały Tadeuszek, co to tacie ponapuszczał pchełek... znał ją Pan Twardowski polskiego życia moralnego — Tadeusz Boy-Żeleński.

Bunt Boya był buntem młodych. Młody lekarz krakowski zetknął się z życiem jakoś inaczej niż ksiądz katecheta, chłostający ciało dyscypliną seminarium, a ducha widmem mąk piekielnych. Nie pachniała mu siarka ani smoła, nie przestraszała go ta piekielna pirotechnika, nie pociągały go pokutne szepty konfesjonału. Porwały go wichry szalonej młodości, potężny wiew życia zapachniał mu ponętą, zawrotną wonią wolności, piękna, czaru zmysłów i miłości. Jak ów wolny żrebiec Żeromskiego wypuszczony na wiosnę

z dusznej stajni na ukwiecony kobierzec pól i łąk, Boy upaja się tą prawdą życia, że człowiek ma prawo kochać pełnię zmysłów, ma prawo wyżycia się biologicznego, że nie potrzebuje wstydzić się potrzeb swego ciała, bo są one tak samo ludzkie, jak potrzeby ducha. Boy deklaruje się jako człowiek renesansu, tej epoki, kiedy papieże hodowali sobie kurtyzany i legalizowali własne dzieci, bardzo przy tym skrzętnie strzegąc świętych praw ołtarza, przystrojonego wieńcami nagich aniołków Rafaela.

Boy jest już w tej pierwszej epoce swego życia i pozostanie do śmierci wielkim humanistą, obrońcą praw człowieka do szczęścia osobistego. W epoce walki o prawa ludu, Boy walczy o prawa Człowieka, jak Norwid zapytuje rewolucjonistów walczących w Grecji — « co nazywacie być owym prawem Człowieka ? » Chodzi tu o pisownię tej pierwszej litery « c ». Czy to ma być « c » małe, czy duże. Ci co piszą słowo « człowiek » przez małe « c », traktują problem ludzkiego gatunku jako problem masy. Dla nich człowiek jest tylko numerem. Masa, zbiorowość ma prawo do wszystkiego. Dla niej jest raj, raj Mahometa i żółty raj Lao-Tse i czerwony raj radia i elektryczności, o który walczy towarzysz z pod znaku Stalina. Dla tej kategorii ludzi los indywidualum nie jest wart zainteresowania. Zapatrzeni w wielkie i dalekie cele, nie widzą te olbrzymy dramatu osobistego jednostki ludzkiej. Ma ona spalić się na stosie ofiarnym, aby z jej prochów powstał świat nowy, lepszy. Teraźniejszość żółwia, plugawa, pełzająca ma zginąć dla piękniejszej przyszłości. Ten wspaniały, porywający mistycyzm jutra ludzi, którzy sami cierpią i każą cierpieć innym, nie brał zupełnie Boya-Żeleńskiego. Nie był on romantykiem. Bukietu róż jutro nie oddałby on za skromny, płowy, chłopski kwiatek do kożucha — dzisiaj. Czy był on sybarytą ? Pytanie kłopotliwe. Któż nie lubi sobie dobrze zjeść, wypić, przespać się, jeśli można. Właśnie, jeśli można za swoje, nie kosztem innych. Boy nie był Ludwikiem XV, nie był egoistą. Boy był realistą, takim, jakimi są Francuzi. Był zwolennikiem rozsądnego używania życia, w dozwolonych ramach etyki i estetyki, był po Kochanowskim największym chyba europejczykiem, jakiego wydał naród polski. Kochanowski, cały ulepiony z gliny uniwersalizmu chrześcijańskiego, był pierwszym po polsku piszącym wielkim europejczykiem. Ten znakomity rektor padewskiego uniwersytetu wyłkał trenami Urszuli wielkość swego narodu, stając obok Dantego, Petrarcki, czy natchnionego francuskiego złodzieja, Villona. W Boyu-Żeleńskim ożył cały Voltaire, wzbogacony w swym ubóstwie pseudo-klasycznej oschłości ogniem Andrzeja Chenier, romantyzmem Wiktora Hugo, pragmatycznym spojrzeniem na życie Balzac'a, soczystym naturalizmem Zoli, zapalczywością Leona Bloy.

Te francuskie drożdże zakipsiały w zdrowym, sarmackim cieple Żeleńskiego. Nałykał się on ich do przesyty, ale strawił i urosło na nich polskie ciasto, które trzeba umieć jeść, aby smakowało. Przyswoił on językowi polskiemu wszystko prawie, co było cenne w literaturze francuskiej. Zaczął jak lafon-

taine'owski konik polny, ale był jednocześnie mrówką. Za mały ogarek żakowskiej pustoty bezgrzesznych, chłopięcych lat postawiony podkasanemu diabłu, ufundował Boy Panu Bogu grubą, solidną świecę. Wiele mu też pewnie za to hojne kolatorstwo będzie wybaczone.

Dziś są takie czasy, że mało co przyjmuje się na wiarę. Każdego z czytelników za często nabrano i w życiu i w bajce, którą się stało słowo drukowane. Myśli więc sobie czytelnik : piszesz o Boyu, jak byś smarował jego nekrolog, więc sobie używaj na chwalbie, ale Boy « największy europejczyk », no to coś, bracie, za dużo.

To jednak właśnie, tę wybitną europejskość Boya trzeba podnieść i wywyższyć, bo tylko patrzeć, jak będziemy pisać nekrolog Europy. Ginie ona, bo była za piękna, za ponętna. Za szczęśliwie się w niej żyło, za beztrosko, za bardzo nad stan. Największym grzechem Europy było to, że można się w niej było śmiać. Boy był pierwszym jej dzieckiem, bo w szalonej perwersji śmiechu przelicytował nawet Francuzów. Raz śmiał się rubasznym śmiechem grubego sarmaty, takiego w czerwonych butach i w kontuszu, co to rycząc « kochajmy się », wylewał ci wino na sztywny gors fraka, to znów piał wstydlivym dyszkantem pół-dziewicy, do której szarmancki kawaler przypuszczał szturm *sans esprit de recule*, często śmiał się szczerym śmiechem dziecka, pięknym jak cnota, na którą nie przyszedł jeszcze jej czas « woli Bożej », a zawsze śmiał się zdrowym śmiechem człowieka, który umie i lubi korzystać z tego największego daru Bożego, daru śmiechu, który jest największym pacyfistą i potrafi rozbroić nawet zbrodniarza. Śmiech jest wyrazem najpiękniejszym radości życia. Czy warte jest cokolwiek życie bez śmiechu ? O to, abyśmy się mogli śmiać walczyły największe duchy ludzkości i najwięksi rycerze dobrej sprawy. Śmiech jest największym triumfem jaki kiedykolwiek odniósł człowiek. Jest śmiech tkliwy, ironiczny, żartobliwy, przekorny, wstydlivy, triumfalny, śmiech przez łzy, śmiech wyrozumiały, przebaczący. Nie ma śmiechu okrutnego. Nie śmieje się kto zabija. Nie ma śmiechu w zbrodni Kaina, która jest dziś chlebem powszednim milionów. Boy był największym artystą, największym wirtuozem śmiechu, tego cudownego daru wolnego człowieka.

Poznaliśmy Boya kpiarza, satyryka, wyciupowanego sędziego Lindseya z « buntu młodych », opiekuna upadłych dziewczec z poradni świadomego macierzyństwa, Boya od francuskiej literatury i Boya od « *Słówek* », wstydlivie kryjącego swą twarz za falbankami frywolnego, damskiego *dessous*. Troskliwie zakrywał on swą twarz mędrca i człowieka o wielkim sercu i tkliwości dziecka, zabrązował się na lekkoducha, aby nie pokazać nam swego prawdziwego oblicza : zatroskanego oblicza filozofa. Boy-mędrzec, Boy-filozof, — oto jego prawdziwy odkonspirowany wizerunek. Świat Boya-mędrca był utopią. Nie było w tym świecie miejsca na krzywdę, na zawiść, a przede wszystkim na niewolę Człowieka. Boy-Żeleński był fanatykiem

wolności. Wszelka tyrania była mu nieznośną. Sam nazywał się człowiekiem rewolucji, dziecięciem tej wielkiej rewolucji od wolności, równości, braterstwa. Tak wierzył, tak żył, tak postępował, jak by te trzy hasła były rzeczywistością. Boy nie był materialistą. Od « słówek » przechodzi do słów. Mówi ich mało, bo patosu organicznie nie znosi, ale to co mówi ma szczególną wagę. We « *Flircie z Melpomeną* » (Wieczór I, str. 206) zapytuje czytelnika : « Czyż sfera ducha nie jest najniewątплиwszą, jedyną może istotną realnością tego świata ? » Zdanie to brzmi zupełnie tak, jak by je wypowiedział ksiądz na rekolekcjach. Boy dał na to pytanie odpowiedź twierdzącą. Dał ją całym swym życiem i dziełem. Jest to życie i dzieło chrześcijanina, syna wielkiej kultury łacińskiej Europy. W innym miejscu tego samego tomu (str. 215) ten wielki człowiek teatru głosi : « suma oraz napięcie marzenia jest najbardziej twórczą, najbardziej pozytywną wartością danego narodu czy społeczeństwa ». W innym tomie przy okazji sprawozdania z jakiejś rewii Boy skarży się, że za dużo w widowiskach było blasku, szumu, oprawy scenicznej i stąd fiasko, potwierdzające regułę, że nawet w rewii, tak, jak wszędzie, forma powinna służyć duchowi.

Taki jest Boy odbrazowany, Boy indywidualista i personalista chrześcijański, Boy heretyk, jak wszyscy apostołowie, Boy piewca kananejskich godów życia, które papież Pius XI nazwał największym darem Stwórcy. Boy chciał za wszelką cenę ukryć przed ludem, że życie nie jest tylko pracą i weselem, że jest również cierpieniem. Na cierpienie nie ma lekarstwa w receptach doktorskich Boya, na cierpienie nie ma żadnej ludzkiej recepty. Lekarzem cierpienia jest Bóg. Boy uznaje Jego istnienie i godzi się z tym, jako z faktem tak oczywistym, jak dzień i noc. Dlatego Boy o cierpieniu nie mówi, bo to nie jego kompetencja.

Świętoszki gorszyły się Boyem. Boy nie był pisarzem dla gawiedzi. Na nasz poziom kulturalny był za wysoki. Wyklinał go z ambony pocziwy nasz proboszcz, kształcony na czterech klasach gimnazjum i paru latach seminarium biskupiego i żywotach świętych, wyklinały go towarzystwa sług świętej Zyty, trzecie zakony i arcybractwa, choć Żeleński nigdy ani słowem nie występował przeciw religii, lecz przeciw pobożnisiom, nigdy przeciw cnotcie, którą cenił, jako najwyższe piękno, lecz przeciw cnotnisiom, którzy jej używali za parawan, nigdy przeciw klerowi, pośród którego miał wielu przyjaciół, lecz przeciw czarnym krukowi, które sutanną osłaniały zgniliznę, nigdy przeciw moralności, lecz przeciw morałom tych, którzy dawać ich nie mieli żadnego prawa. Był on Leonem Bloy polskiego życia społecznego. Leon Bloy, uznany później za świętego przez tych, którzy go za życia kamieniowali, jest dzisiaj cytowany jako jeden z pierwszych pisarzy katolickich. A przecież duchowieństwu dostało się od Leona Bloy więcej cięgow niż od Voltaire. Święci zawsze byli za życia heretykami. O Boyu więc można powiedzieć to samo, co Henri de Groux mówi w książce « *Léon Bloy devant les cochons* »

o autorze « *Le pèlerin de l'Absolu* » (str. 12) : « ... vous n'auriez dans la vie que deux sortes d'ennemis : les imbéciles et les lâches. L'imbécilité et la lâcheté — ces deux tribades passionnées — sont naturellement vos ennemis les plus acharnés, et je m'étonne peu qu'elles ne reculent devant rien, dans l'espoir de vous étouffer. Mais que peuvent-elles contre un Homme, et un Homme tel que vous?... »

Oto jakby żywcem przepisane ze świadectwa moralności, które « przyszłość korektorka wieczna » wypisze Boyowi, tak, jak wypisała jego bratu mlecznemu, Leonowi Bloy. I o naszym autorze « *Ludzi żywych* » napisze ktoś może książkę « *Boy-Żeleński pomiędzy świniami* ». Byłby to zasłużony order dla Boya-mędrca, order co go król Stanisław Leszczyński nadawał « tym, co odważyli się być mądrzy ». Albowiem być mądrym — to wielka odwaga !

Zawsze twórczy, zawsze bojowy, zawsze gotowy do poświęceń dla każdej dobrej sprawy, obiecywał sobie Tadeusz Żeleński długie życie, mówiąc o tym publicznie w jednej prelekcji w *Collège de France* : — « Ojciec mój przekroczył osiemdziesiątkę i ja ją przekroczę ». Niestety wybuchł kataklizm wrześnieowy. Żeleński schronił się do Lwowa. Zielony balonik jego młodości poczerwieniał obcą mu barwą. W czerwonym Lwowie wykłada znakomity romanista literaturę francuską na Uniwersytecie. W r. 1941 nie wyjeżdża z bolszewikami. We wschód nie wierzył. Z okazji recenzji rewii rosyjskiej Jewreinowa pisze, że « zbawienie napewno nie przyjdzie ze wschodu ». Niemcy dostali nareszcie w swe ręce tego wielkiego łacinnika, duchowego antagonistę germanizmu. Krótco po zajęciu miasta zginął z rąk siepaczy Gestapo w 67 wiosnie swego wiecznie młodego życia. Nie doczekał przepowiadanej sobie osiemdziesiątki.

Śmierć Jego była wielkim triumfem ducha. Umarł za to wszystko, w co wierzył, umarł za wolność i królestwo wolnego ducha ludzkiego, który musi zapanować nad ponurą przemocą materii, jako logiczna konieczność dziejowa tych apokaliptycznych zmagania. Umarł tak, jak żył. Umarł w walce. Wróg zniszczył tylko formę, w której objawił nam się Jego wspaniały, wolny duch. Pozostał nam Człowiek żywy, jako bezsporna już teraz własność całego narodu, jako nasze wspólne bogactwo, pozostał w sferze ducha, tej « najniewątpliwszej, jedynie istotnej realności tego świata ».

DR. JANUSZ T. DYBOWSKI.

KRYZYS SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

Kryzysy w dziejach sztuki są zjawiskiem częstym, raczej normalnym i właściwie nie są groźne. Powstają one zawsze wtenczas, gdy pewne jednostki twórcze wyprzedzają swoją epokę i natrafiają na opór szerszych rzesz społeczeństwa, nie mogących za nimi nadążyć i potrzebujących pewnego czasu na « nauczenie się » nowego języka artystycznego. Staje się to częstokroć źródłem osobistych tragedij « wielkich artystów » zapoznawanych za życia, ale w gruncie rzeczy nie przynosi szkody samemu rozwojowi sztuki, gdyż nowe wartości, o ile są naprawdę twórcze, wcześniej czy później zyskują prawo obywatelstwa i powszechne uznanie. Kryzys jednak, jaki przechodzi sztuka w ostatnim 50-cioleciu, jest nie tylko gwałtowniejszy od wszystkich dotychczasowych, ale różni się od nich zasadniczo również pod względem jakościowym. Wprawdzie teraz, kiedy romantyczna postać artysty żyjącego w nędzy i wyniośle izolującego się od pospolitości życia codziennego przestała być modna, kiedy działalność artystyczna ma znacznie bardziej cechy sumiennej pracy fachowca wciągniętego w skomplikowany aparat praktycznego życia, osobiste tragedie — takie, jakie przedstawiało np. życie Beethovena, Norwida, Van Gogha — są bardzo rzadkie. Ale zato wielką, jedyną w swoim rodzaju tragedię przeżywa cała sztuka — tragedię całkowitej niemal izolacji i zagubienia drogowskazów. Dawniej, co jakiś czas wybuchała walka pomiędzy « młodymi » i « starymi », pasjonująca obie strony i żywo interesująca społeczeństwo ; kończyła się ona zazwyczaj zwycięstwem « młodych » i zaczynała się na nowo, kiedy ci młodzi z kolei stawali się « starymi ». Teraz sytuacja jest zupełnie odmienna. « Młodzi » przedstawiciele sztuki współczesnej byłiby w wielkim kłopotcie, gdyby mieli sprecyzować, o co walczą, — gdyż nie stanowią już jednolitej « szkoły », lecz dzielą się na szereg najsprzeczniejszych, bezwzględnych w swej krańcowości obozów, zacięcie zwalczających się między sobą. Chociaż brzmi to jak paradoks, jednym z powodów tego stanu rzeczy jest ogromne rozpowszechnienie się sztuki. Dawniej artystów było stosunkowo niewiele, każdy z nich znajdował wystarczające pole dla swojej działalności ; nie przeszkadzali oni sobie wzajemnie, a nawet opłacało się im ze względów materialnych zrzeszać w zgodnie działające cechy czy stowarzyszenia zawodowe. W ostatnim stuleciu jesteśmy jednak świadkami nie tylko znacznie szerszego rozpowszechnienia się sztuki w warstwach społecznych, stojących przedtym na uboczu od wszelkiej działalności kulturalnej, lecz również wystąpienia na arenę nowych narodów dotychczas

całkowicie nieprodukcyjnych w dziedzinie artystycznej. Obok tradycyjnie przodujących w sztuce wielkich cywilizacji europejskich zaczynają dostarczać artystów Ameryka, kraje bałkańskie, bałtyckie, nawet narody azjatyckie zbudzone z wielowiekowej śpiączki. Objawem istotnym na rynku artystycznym, staje się « przeludnienie », a w konsekwencji coraz większą rolę zaczyna odgrywać moment konkurencji. « Rynek », « konkurencja », te pojęcia właściwie współczesnemu życiu gospodarczemu stają się ważne również dla dziedziny kulturalnej. Automatycznie niemal do dziedziny kulturalnej zostają przeniesione również metody gospodarki kapitalistycznej : reklama, bezwzględna walka z konkurentem itd. Potrzeba reklamy pociąga za sobą postulat oryginalności, oryginalności za wszelką cenę, niezależnie od tego, czy dany artysta posiada do tego warunki wewnętrzne czy nie. Stąd wysiłki tworzenia koniecznie inaczej niż ktokolwiek inny (tendencja zupełnie obca artystom ubiegłych wieków, u których oryginalność była wynikiem ich indywidualnych cech twórczych, nie zaś narzuconym sobie celem), stąd mnogość prądów i kierunków nie dających się sprowadzić do jednego mianownika. Zamieszanie to powiększa jeszcze ogromny wzrost tempa życia współczesnego. Dawniej style artystyczne żyły dziesiątkami a nawet setkami lat ; w ciągu ostatnich lat 50-ciu modne prądy zmieniały się niemal co parę lat. Wytwarzało to tę paradoksalną sytuację, iż panowanie jednego stylu nie pokrywało się nawet z jednym pokoleniem. Podczas gdy w czasach dawniejszych wielki artysta prawie przez całe życie nie mógł zdobyć uznania i zyskiwał je dopiero po śmierci, obecnie występuje zjawisko dla artystów bodajże boleśniejsze : najradykałniejszy nowator zyskuje stosunkowo szybko rozgłos w gronie snobów i estetów, ale moda trwa niedługo i nieraz, gdy ów twórca dopiero zdąży osiągnąć pełnię dojrzałości, zostaje zaćmiony przez nową sensację i odsądzony od czci i wiary jako « przestarzały ». O ile nie ma wystarczająco bogatej indywidualności twórczej, by w ciągu życia kilkakrotnie zmienić własny styl — tak jak np. d'Annunzio, Picasso, Strawiński — staje się niespodzianie dla siebie jeszcze w młodym wieku « konserwatystą », co u ludzi o całkowicie antykonserwatywnej psychice wywołuje częstokroć poprostu rezygnację z dalszej twórczości. Proces ten rozgrywa się jedynie wewnątrz szczupłego grona « znawców », podczas gdy prawdziwi konserwatyści zwalczają sztukę współczesną hurtownie dla zasady, przeważnie jej w ogóle nie znając i nie rozróżniając poszczególnych prądów i kierunków. Nieraz się nawet zdarza, iż ci konserwatyści jeszcze teraz zwalczają prądy, które przez postępowców dawno zostały uznane za nieaktualne i nic wspólnego ze sztuką współczesną nie mające.

Nic więc dziwnego, że laik usiłujący połapać się w tym chaosie na podstawie opinii krytyków i fachowców, jest jeszcze bardziej zdezorientowany. Najczęściej jednak w ogóle nie próbuje tych zjawisk zrozumieć. To właśnie jest cechą najcharakterystyczniejszą obecnego kryzysu artystycznego, iż

odbywa się on niejako na marginesie życia społecznego. Dawniej, nawet gdy szersze rzesze odbiorców przeciwstawiły się nowym ideałom artystycznym — jak np. w wypadku Wagnera — walka ta przynajmniej wszystkich pasjonowała ; w dobie obecnej walka przeniosła się wewnątrz obozu postępowego, społeczeństwo zaś pozostaje obojętne i ignoruje ją, zwracając swe zainteresowania bądź w kierunku sztuki dawnej, bądź też — co jest znacznie częstsze — szukając zaspokojenia swych potrzeb artystycznych w tak zwanej sztuce rozrywkowej.

Tak istotny dla naszych czasów podział na sztukę poważną i lekką, bynajmniej nie jest zjawiskiem odwiecznym. Zaczął wyraźnie występować dopiero w ubiegłym stuleciu i był pierwszym objawem zaczynającego się kryzysu, pierwszym wskaźnikiem, iż społeczeństwo przestaje rozumieć już nie te lub inne objawy sztuki, lecz samą istotę sztuki jako takiej. Nie możemy wdawać się tu w szerszą analizę przeżycia artystycznego, stwierdzić tylko możemy, iż wbrew powierzchownym opiniom, przeżycie to nie tylko u twórcy ale również u odbiorcy ma charakter czynny a nie bierny. Niewątpliwie napięcie tej aktywności jest słabsze u odbiorcy jak u twórcy, tym niemniej prawdziwa reakcja na sztukę polega na pewnej współtwórczości i ta współtwórczość jest głównym źródłem rozkoszy estetycznej. Otóż w stosunku do sztuki współczesnej większość społeczeństwa nie chce i nie umie zająć postawy współtwórczej.

Przyczyny tego zjawiska są bardzo różnorodne i winą można obciążyć zarówno społeczeństwo jak artystów. Zastanówmy się najpierw, dlaczego w dobie obecnej szerokie rzesze nie chcą zająć postawy współtwórczej. Jest rzeczą niewątpliwą, iż istniały epoki, w których sztuka była nie tylko dobrem ogółu, lecz częstokroć nawet wytworem zbiorowości. Wystarczy zacytować powszechnie znane przykłady teatru greckiego, architektury gotyckiej, włoskiego malarstwa renesansowego itd. W epokach tych sztuka tworzyła niezbędny i naturalny składnik życia codziennego, w sposób nierozzerwalny łączyła się z religią, życiem politycznym i gospodarczym, nawet z wojną ; piękna szukano i stwarzano je w przedmiotach codziennego użytku, strojach, meblach, mieszkaniach, domach, przepajano nim nie tylko uroczystości świąteczne, lecz nawet pracę rzemieślnika, robotnika, rolnika. Współczesna industrializacja rozerwała te harmonijne powiązania. Przede wszystkim w seryjnym, zmechanizowanym systemie produkcji fabrycznej wyeliminowano z pracy całkowicie indywidualny pierwiastek twórczy a tym samym piękno. Dawniej rzemieślnik był w mniejszym lub większym stopniu artystą ; dziś staje się bezdusznym automatem, pojmującym pracę jedynie jako ciężki i przykry sposób zdobycia środków do życia. Ale również i w wyższych sferach system życia współczesnego w skutek jego coraz większej komplikacji, eliminuje renesansowy typ człowieka o powszechnych zainteresowaniach. Konieczną staje się specjalizacja. Społeczeństwo dzieli się na fachowców, którzy mają coraz mniej czasu na

interesowanie się sprawami, leżącymi poza ich zawodem. Z jednej strony zmniejsza to wydatnie szeregi odbiorców sztuki, z drugiej strony z artystów również czyni zawodowców, ograniczających się jedynie do swojej specjalności i mających przez to węższe horyzonty. A nawet jeśli ktoś umie jeszcze zdobyć się na różnorodność zainteresowań, nie jest już w stanie połączyć ich w harmonijną syntezę. Inną częścią swej osobowości oddaje się pracy zawodowej, inną poświęca się życiu rodzinnemu, osobną komórkę duchową ma dla przeżyć religijnych, osobną dla zainteresowań kulturalnych. A że przytym coraz bardziej zaczyna się rozpowszechniać pogląd, iż dobrobyt materialny jest nie środkiem do rozwinięcia własnej kultury, lecz celem sam w sobie, — sztuka przestaje być naturalną i konieczną potrzebą życiową, staje się dla jednych rzadką odświeżną przyjemnością, dla innych zaś — dla większości — prosto rozrywką, wypoczynkiem, jednym ze sposobów zwalczania nudy. W tych warunkach odbiorca nie ma ochoty zdobywać się na współtwórczość, wymagającą pewnego wysiłku, nie potrzebuje sztuki prawdziwej. Woli jej surogat, operujący podobnymi środkami, ale nie wymagający żadnej współtwórczości — właśnie sztukę « lekką ».

Dotyczy to tych najliczniejszych, którzy prosto nie chcą zdobyć się na współtwórczość. Ale niewątpliwie istnieją jeszcze inni, którzy jeszcze nie stracili potrzeby przeżyć artystycznych, którzy jednak w stosunku do nowej sztuki nie mogą pomimo dobrej woli zdobyć się na współtwórczość. I tu wina spada już nie na społeczeństwo tylko na samych artystów. Gdyż istotnie współtwórczość ze sztuką współczesną, prawdziwa nie snobistyczna, nie jest łatwa, czasami zaś wręcz niemożliwa. Konserwatyści widzą w tym rezultat złej woli artystów współczesnych, na złość i przez przekorę produkujących same potworności. Oczywiście tego demagogicznego zdania nie można brać poważnie. Na pewne raczej zewnętrzne powody anarchii panującej w sztuce współczesnej zwróciliśmy uwagę już wyżej. Istnieją jednak przyczyny znacznie głębsze i istotniejsze.

Zanim zastanowimy się nad tymi przyczynami, przyjrzyjmy się bliżej samemu procesowi rozwoju sztuki. W tej dziedzinie panują bardzo sprzeczne poglądy. Według jednych historyków sztuki rozwój ten ma charakter ewolucyjny, polega na coraz większym doskonaleniu się, zdobywaniu coraz precyzyjniejszych umiejętności technicznych, a przez to samo na ciągłym wzbogacaniu treści i formy. Według innych mamy tu raczej okresowo powtarzającą się oscylację pomiędzy biegunami jak naturalizm — idealizm, przewaga treści — przewaga formy, romantyzm — klasycyzm itd. Według innych znowuż nie ma w sztuce żadnego rozwoju, tylko niepowiązane żadną prawidłowością wzloty i upadki, przyczym nawet ocena tych wzlotów i upadków jest względna. W tym, co jedna epoka uważa za piękne, inna widzi brak gustu. Poza tym dzielą się historycy sztuki na dwa obozy jeśli chodzi o związek rozwoju artystycznego z ogólnymi dziejami kulturalnymi, społecznymi i gospodarczymi.

Według jednych związek ten jest bardzo ścisły, według innych dzieje sztuki mają własne, odrębne od żadnych zewnętrznych warunków niezależne prawa. Z jednej strony mamy więc szkołę pozytywistyczną w ten lub inny sposób nawiązującą do sławnej teorii Taine'a o wpływie środowiska i epoki, — z drugiej strony szkołę idealistyczną, reprezentowaną ostatnio przez Wölfflina.

Trudność w rozstrzygnięciu tych sporów polega na tym, iż każdy z wymienionych poglądów można poprzeć konkretnymi przykładami z dziejów sztuki. W każdym razie nie ulega wątpliwości, iż dzieje te zasadniczo różnią się np. od dziejów nauki. W nauce mamy pewną ciągłość ewolucyjną: każda epoka wzbogaca zdobycze epok poprzednich, rozbudowuje gmach wiedzy odrzucając z dawniejszych zdobyczy to, co przy bliższym zbadaniu okazuje się błędnym, zachowując to, co wytrzymuje próbę czasu, ale nie jako wartość samą w sobie, lecz jako część składową coraz szerszego systemu. Tak np. nikt już nie może w fizyce współczesnej opierać mechaniki na samym systemie Newtona. Mimo to system ten nie jest odrzucony, lecz uznany za szczególny przypadek ogólniejszej mechaniki teoretycznej. I nikt znowu nie może twierdzić, że nauka w starożytności czy chociażby jeszcze w ubiegłym stuleciu przewyższała naukę współczesną.

W dziejach sztuki proces jest zupełnie odmienny. Szczyty w pewnych dziedzinach zostają osiągnięte nieraz już w zaraniu naszej cywilizacji i zachowują do dziś dnia wartość samą w sobie nie zaś jedynie jako szczebel na drodze do sztuki dzisiejszej. A mimo, iż nikt nie kwestionuje wielkości tych osiągnięć, nie wywołuje to zatrzymania się procesu, lecz następne pokolenia zdążają do tych szczytów od nowa i przeważnie na innej drodze. Nie mamy więc, jak w nauce, ciągłego i w pewnym stopniu konsekwentnego zdążania ku jednemu celowi, lecz ustawiczną i raczej niekonsekwentną zmianę celów.

Główną wadą każdej z wymienionych wyżej teoryj rozwoju sztuki jest ich jednostronność, zwracanie uwagi tylko na jeden składnik procesu twórczego jako zasadniczy, uważanie zaś innych za wtórne. Tymczasem proces powstawania dzieła sztuki jest złożony i właśnie równorzędne uwzględnianie wszystkich jego składników pozwoli nam na wybrnięcie z trudności. Okaże się, że wszystkie powyższe teorie są słuszne, ale w odniesieniu do różnych składników procesu twórczego. Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na wyczerpujące omówienie wszystkich czynników składających się na proces twórczy, będziemy więc musieli ograniczyć się tylko do tych, które są niezbędne do zrozumienia rozwoju sztuki.

Przede wszystkim należy odróżnić elementy zależne od woli twórcy i od niej niezależne, niejako z góry dane artyście. Zaczniemy od tych ostatnich. Tu znowu możemy rozróżnić dwa elementy: jeden *par excellence* czynny, drugi całkowicie bierny. Stanowią one jakgdyby dwa bieguny, pomiędzy którymi mieści się właściwe tworzenie. Wspomnianym elementem czynnym w swojej istocie, chociaż niezależnym od woli artysty, jest sama zdolność

twórcza, wewnętrzna potrzeba tworzenia, natchnienie — jednym słowem czynnik warunkujący twórczość w ogóle, który w braku lepszego określenia nazwijmy potencjalnością twórczą. Z natury swojej jest to niewątpliwie chyba najczynniejszy element psychiki ludzkiej, jedyny bodaj element całkowicie nieograniczony. Nie zapominajmy bowiem, iż twórczość artystyczna jest jedyną dziedziną, w której twórca nie zna żadnych skrępowań, w której « wszystko wolno ». Potencjalność twórcza to nie jest jeszcze żadna skonkretyzowana koncepcja, jest to poprostu poczucie pewnego nadmiaru energii potrzebującej wyładowania się w twórczości. Wyładowanie to następuje za pośrednictwem konkretyzacji nieuchwytnego impulsu twórczego w dziele. Potencjalność twórcza z samej swej istoty jest nieskończona ; dzieło, jako zamknięte w formie materialnej, musi być skończone. Z tego punktu widzenia proces twórczy przedstawia się jako wyrażanie nieskończoności przez skończoność. A że żadna skończona forma nie może wyczerpać nieskończoności, stąd potrzeba ciągłego tworzenia dalszych dzieł, a w aspekcie ponadindywidualnym — wyjaśnienie faktu, na który już zwracaliśmy uwagę, iż pomimo osiągnięcia szczytów w największych arcydziełach, proces twórczy ludzkości nie ustaje, lecz wciąż się odnawia.

Stopień nasilenia twórczego może być rozmaity u rozmaitych indywidualności. Może go wcale nie być ; człowiek pozbawiony tego daru bożego jest niezdolny do odczuwania sztuki. Może jednak nasilenie potencjalności twórczej być niewielkie, zamałe by spowodować proces twórczy, wystarczające jednak, by pod wpływem cudzej twórczości wzbudzić analogiczne przeżycia. Wówczas mamy właśnie współtwórczość, w której odbywamy odwrotną drogę : od skończoności do nieskończoności. Ta gra między nieskończonością a skończonością jest jednym z najistotniejszych składników przeżycia artystycznego.

Zwróćmy się teraz do drugiego biegunu — biernego. Tym będzie materiał dany artyście do rozporządzenia, to wszystko, co on już zastaje z chwilą rozpoczęcia tworzenia. Nazwijmy element ten tworzywem. Jest to niejako substrat, na którym konkretyzuje się abstrakcyjna w swojej istocie potencjalność twórcza. Pojmuję tworzywo w sposób jaknajogólniejszy, a więc będzie to zarówno materiał *stricto sensu* jak kamień, glina czy drzewo dla rzeźbiarza, farby dla malarza, instrumenty muzyczne dla muzyka, jak również « materiał psychiczny » a więc to wszystko, co w psychice artysty znajduje się wbrew jego woli, wpływ dziedzictwa, wychowania, środowiska, klimat epoki oraz cała znana mu dotychczasowa tradycja artystyczna. Są to elementy, które o tyle są niezależne od woli twórcy, iż istnieją już przed nim, iż nie może on ich zmienić, może je najwyżej mniej lub więcej opanować. Otóż w tej dziedzinie rozwój historyczny niewątpliwie nosi cechy ewolucji ciągłej, analogicznej do ewolucji w dziedzinie nauk. Albowiem przy opanowywaniu materiału zdobycze poprzednich pokoleń nie są odrzucane, lecz stanowią szczeble, w oparciu o które można posunąć się dalej ; tu z całą oczywi-

stością możemy stwierdzić ciągły i wzrastający postęp. Również w odniesieniu do « materiału psychicznego » ewolucja odbywa się w sposób ciągły, niejako automatycznie, przez samo nakładanie się cech właściwych danej epoce, na tradycję epok poprzednich. W odniesieniu więc do « tworzywa » słuszna jest teza szkoły pozytywistycznej w historii sztuki o ciągłości rozwoju i o jego zależności od epoki i środowiska. Błędem jest jednak sprowadzanie całego procesu artystycznego do tego jednego składnika. Pomędzy tymi dwoma biegunami : potencjalnością twórczą, czynną, ale całkowicie abstrakcyjną, a « tworzywem » wprawdzie konkretnym, ale zupełnie biernym znajduje się przepaść pozornie nie do przebycia. Wypełnia ją właściwa twórczość, i tu do głosu dochodzi wola artysty. Pierwszym etapem konkretyzacji impulsu twórczego jest uświadomienie sobie celu twórczości. Dotąd działał tylko instynkt, teraz w grę wchodzi rozum, szukający kierunku wyładowania impulsu twórczego, następuje wewnętrzne umotywowanie aktu twórczego. Motywacje te — nazwijmy tak ten składnik procesu twórczego — stanowią najistotniejszą treść mającego powstać dzieła sztuki, treść ważniejszą od jakichkolwiek elementów fabularnych i anegdotycznych, które zbyt często mylnie utożsamia się z właściwą treścią dzieła, a które wcale nie są w sztuce konieczne. Brakują one z reguły w dziele architektonicznym czy muzycznym, mogą również nie występować w poezji czystej lub malarstwie formistycznym. Motywacje jednak występują zawsze, w przeciwnym razie artysta sam by nie wiedział, co tworzy. Rozróżnić należy motywacje szczegółowe, stanowiące treść poszczególnych dzieł oraz motywacje ogólne, będące wyrazem celów przyświecających całej twórczości danego artysty, albo nawet danej epoki. W tym znaczeniu są one równoznaczne z ideałami estetycznymi danej epoki. Otóż w tej dziedzinie rozwój bynajmniej nie musi wykazywać jakiegokolwiek ciągłości. Motywacje mogą być mniej lub więcej dowolne, zależne od światopoglądu epoki. Tu raczej częstsze jest zjawisko, iż rozczarowanie się w dotychczasowym ideale artystycznym skłania do przerwania się do ideału biegunowo przeciwnego. W sumie jednak ilość tych ideałów, które muszą mieć jakie takie rozumowe uzasadnienie, nie jest nieograniczona i z mniejszymi lub większymi zmianami powtarzają się one co pewien czas. W odniesieniu więc do tego, ale tylko tego składnika twórczości artystycznej mają rację zwolennicy poglądu o oscylacyjno-biegunowym charakterze dziejów sztuki.

Pozostaje nam do scharakteryzowania ostatni składnik procesu twórczego, warunkujący powstanie właściwego dzieła i polegający na zetknięciu się motywacji z tworzywem, rezultatem czego jest ukształtowanie tworzywa w myśl danych motywacji szczegółowych czyli forma, element, który przez wielu estetyków współczesnych jest uważany za jedyny istotny element dzieła sztuki. Jest to czynnik bardzo ważny, chociaż niewątpliwie nie jedyny istotny i nie tak prosty jakby się zdawało. Jego rola pośrednicząca pomiędzy motywacjami a tworzywem sprawia, iż ewolucja historyczna ma tu cechy

niejako dwutorowe. W okresie panowania tego samego ideału estetycznego rozwój formy ma cechy konsekwentnego opanowywania techniki — np. coraz większa biegłość w naśladowaniu natury przez cały czas panowania ideału naturalistycznego w malarstwie. Z chwilą jednak zmiany motywacji i forma dokonuje również niekonsekwentnego skoku jak np. przy przejściu od malarstwa naturalistycznego do formistycznego. Ogólnie więc rozwój elementów formalnych w sztuce można by było określić jako niekonsekwentne następstwa okresów, wewnątrz których rozwój jest jednak konsekwentny. Być może ta dwoistość ewolucji formalnej służyła za argument dla zwolenników tezy o zupełnej anarchiczności rozwoju sztuki; nie uwzględniając związków formy równocześnie z motywacjami i tworzywem, nie spostrzegali ci teoretycy sztuki, iż za tą anarchią kryje się pewna prawidłowość.

Elementy formalne każdej dziedziny sztuki spełniają funkcję podwójną: z jednej strony tworzą one jakgdyby cegiełki, z których powstaje konstrukcja formalna całości, z drugiej strony mają zdolność same przez się wywoływać u odbiorcy pewne przeżycia wewnętrzne. W pierwszym wypadku cechą ich musi być podatność do łączenia się z innymi elementami formalnymi w organiczną całość, a więc wszelkiego rodzaju napięcia dynamiczne, kierunkowe, kontrasty (kontrast też jest metodą łączenia!) itd. W drugim wypadku muszą się odznaczać pewną sugestywnością, zdolnością prowokowania u odbiorcy przeżyć analogicznych (nie identycznych — co jest niemożliwe i niepotrzebne) do przeżyć twórcy dzieła. Nie zawsze i nie wszędzie obie funkcje muszą występować razem. W okresie panowania klasycystycznych lub formistycznych ideałów estetycznych kładą twórcy nacisk przede wszystkim na cechę pierwszą i wówczas ważne są nie tyle same środki ile ich związek pomiędzy sobą; w okresach romantycznych lub realistycznych zwracają artyści uwagę przede wszystkim na funkcję drugą, i wówczas na pierwszy plan przed konstrukcją dzieła wysuwają się środki formalne jako takie. Otóż faktem bardzo ważnym, o którym nie można zapominać przy badaniu rozwoju środków formalnych, jest często zapoznawane zjawisko, iż zarówno podatność środków formalnych do łączenia się w konstrukcje wyższego rzędu, jak ich sugestywność treściowa względnie poprostu tzw. piękno estetyczne są całkowicie względne. Nie ma żadnych obiektywnych reguł zmuszających do użycia w każdym poszczególnym wypadku tych a nie innych środków. Oczywiście każda epoka artystyczna wytwarza właściwy sobie inwentarz środków powszechnie « rozumianych », ale nie istnieje i nie może istnieć jakiś raz na zawsze ustalony klucz odpowiedników pomiędzy elementami formalnymi a przeżyciami treściowymi. Klucz taki nie może istnieć przede wszystkim dlatego, iż cechą bardzo charakterystyczną środków formalnych jest ich zużywanie się. Przy zbyt częstym stosowaniu ścierają się one niejako, słabną i wyczerpują. Napięcia pomiędzy nimi stają się na skutek przyzwyczajenia do utartych zwrotów zbyt proste, szablonowe, tracą swój dynamizm; jeśli zaś chodzi o

sugestywność treściową, środki formalne zbyt często użyte poprostu tracą znaczenie, stają się « puste ». Stąd ciągła konieczność odnawiania repertuaru elementów formalnych, decydująca o ustawicznych zmianach stylu, konieczność tym razem wynikająca z samej natury środków formalnych, niezależna od wpływów motywacyjnej czy tworzywa.

Proces ten zresztą nie jest tak prosty jakby się zdawało. Samo stwarzanie nowych środków jest sprawą inwencji twórcy ; zagadkowy jednak jest fakt, iż środki te — wprawdzie zazwyczaj nie odrazu — po pewnym jednak czasie stają się zrozumiałe również dla odbiorcy, mimo iż nie posiada on żadnego klucza dla odcyfrowania znaczenia treściowego czy konstrukcyjnego danego środka formalnego. Nie możemy tu bliżej zajmować się wyjaśnieniem tego zjawiska. Wystarczy zaznaczyć, iż działają tu z jednej strony sugestywność dzieła, narzucająca odbiorcy taką a nie inną interpretację danego środka formalnego, przede wszystkim jednak fakt, iż żadne dzieło nie składa się całkowicie z zupełnie nowych elementów formalnych. Część z nich jest już odbiorcy znana, nowe zaś « odcyfrowuje » on niejako przez « kontekst ». Oczywiście możliwe to jest jedynie jeżeli wszystkie elementy zarówno nowe jak stare są powiązane w organiczną całość — jest to warunek nieodzowny. Odbiorca wówczas poprzez całość trafia również do wewnętrznego sensu nowych dla niego szczegółów.

Wyodrębniliśmy tu zasadnicze składniki procesu twórczego, których wzajemna gra reguluje rozwój sztuki w czasie. Zastanówmy się jak wyglądają te składniki w dobie obecnej. Zaczniemy od « tworzywa psychicznego », czyli od ducha czasu, który z konieczności wyciska swoje piętno na produkcji artystycznej. Najważniejszy wpływ wywiera tu właściwe naszej epoce zachwianie i pomieszanie wszelkich kryteriów. Religia, filozofia i nauka, które były w swoim czasie dla sztuki przewodniczkami o niepoddawanym w wątpliwość autorytecie, po kolei zostały strącone z piedestału i same przechodzą ostry kryzys. W miejsce religii pretensje do rządu dusz zaczęły zgłaszać różnego rodzaju nauki okultystyczne, które w pewnych wypadkach i na sztukę wywarły istotny wpływ, przeważnie bardzo zgubny. Filozofia, po upadku wielkich systemów idealistycznych sama abdykowała ze stanowiska, jakie zajmowała, schodząc bądź do rządu nauk pomocniczych jak logistyka i psychologia, bądź też ustępując miejsca koncepcjom wprawdzie efektownym, lecz raczej demagogicznym, pozbawionym głębszego uzasadnienia (np. Nietzsche). Nauka po okresie glorii i samowładztwa w dobie pozytywizmu też zaczęła przechodzić kryzys w pewnym sensie nawet płodny, ale szkodliwy w reperkusjach, jaki wywarł na szeroką opinię, nie rozumiejącą istoty rzeczy a chwytającą jedynie zewnętrzne slogany. Przykładem najbardziej charakterystycznym jest wpływ przewrotu myślowego, jaki zaszedł w fizyce współczesnej. Szeroki ogół niewiele zrozumiał z teorii Einsteina, de Broglie'a, czy Heideggera, ale chwycił się efektownie brzmiących haseł : « względności » i « indeterminizmu ». Skoro

nawet w świecie fizycznym panuje względność i indeterminizm, cóż dopiero w świecie psychicznym. Drugim przykładem, godnym wzmianki ze względu na poważny wpływ w dziedzinie koncepcyj estetycznych, jest znaczenie, jakie w dobie obecnej uzyskał freudyzm, który, nie w swej naukowej istocie, ale w skażonym, popularyzatorskim ujęciu stał się dla wielu osób jedyną współczesną filozofią. Jeszcze jednym fetyszem współczesnym stała się socjologia, znowuż nie w swych naukowych osiągnięciach, tylko w postaci wielkich ruchów społeczno-politycznych usiłujących zastąpić szerokim masom religię. O daleko idącym wpływie, jaki na sztukę wywarły komunizm i faszyzm, będziemy jeszcze mówili niżej.

Ten jedyny w swoim rodzaju chaos światopoglądowy, jaki cechuje epokę współczesną, wpłynął na postawę artystów tym mocniej, iż począwszy od romantyzmu sztuka zaczyna powoli wyzwalać się z wszelkich pęt. Niemiecka filozofia idealistyczna, zwłaszcza Schelling, postawiła sztukę na wyżynach przedtym dla niej nieosiągalnych — ponad religią i filozofią, i za jej cechę podstawową uznała nieograniczoną wolność. Z wolności tej romantyzm zrobił fetysz, utożsamiając ją z zupełną anarchią i zapominając, iż wprawdzie potencjalność twórcza w dziedzinie sztuki jest nieograniczona, ale wszelka twórczość polega na świadomym samoograniczeniu się, narzuceniu samemu sobie praw. Po okresie szaleństw romantycznych zdawało się, iż sztuka, w dobie pozytywizmu i naturalizmu, znajdzie pewne skrępowanie od strony nauki; nie odważano się gwałcić przynajmniej praw logiki, praw psychologicznej, praw fizycznych (prawa przyciągania lub warunków wytrzymałości materiału w architekturze, perspektywy w malarstwie, akustyki w muzyce itd.). Z chwilą jednak zachwiania się wiary w nieomyślność nauki runęły i w sztuce ostatnie zapory na drodze ku pełnej anarchii. Odtąd powszechną staje się teza, iż artyście « wszystko wolno », a że równocześnie ze względu na specyficzne warunki społeczne, o których mówiliśmy wyżej, aktualny stał się postulat oryginalności, zaczęli artyści przelicytowywać się w najdziwniejszych, nieskrępowanych żadnymi więzami eksperymentach estetycznych. Nie obawiali się nonsensu, brzydoty, nawet potworności, byle stworzyć coś odmiennego niż inni.

Z pomocą przyszedł tu jeszcze rozwój techniki nowoczesnej, dotyczącej tego, co określimy mianem « tworzywa materialnego ». Technika żelbetowa pozwoliła architektom nie liczyć się z prawem ciężkości, udoskonalenie współczesnych instrumentów muzycznych, zwłaszcza zaś wynalazek instrumentów elektrycznych otwarły przed kompozytorami nieograniczone możliwości, film pozwalał zignorować wszelkie skrępowania występujące w teatrze. W tym upajaniu się nowymi możliwościami technicznymi zbyt często zapominano o tym, iż są to tylko środki, zbyt często robiono z nich cel twórczości artystycznej.

Taki stan rzeczy wywołał całkowity beład w dziedzinie motywacyj

estetycznych. Występuje tu bardzo znamienne, paradoksalne zjawisko: z jednej strony zachwianie się wszelkich kryteriów, z drugiej strony intelektualizacja procesu twórczego, odebranie mu wszelkiej spontaniczności i naiwności. W dawniejszych epokach teorie artystyczne następowały po praktyce, były próbą wyjaśnienia i usystematyzowania wyników osiągniętych już przedtem na drodze intuicji twórczej. Obecnie aż nazbyt często praktyka twórcza staje się jedynie zastosowaniem teoretycznie wykoncypowanych doktryn. A że z drugiej strony wszelkie kryteria zostają poddane w wątpliwość, nic nie stoi na przeszkodzie do wymyślania zupełnie dowolnych haseł artystycznych. W tym względzie sztuka przelicytowała wszystkie inne dziedziny życia współczesnego. O ile w nauce współczesnej każda nawet najbardziej rewolucyjna teoria musi być uzasadniona jeśli nie matematycznie to przynajmniej eksperymentalnie, w dziedzinie koncepcji artystycznych uzasadnienie takie nie obowiązuje. Tu wszelki pomysł, nawet całkowicie absurdalny, jest dozwolony, byle by był oryginalny, i natychmiast z całą pedanterią bywa wprowadzany w życie. Doktrynerstwo estetyczne zaczyna się panoszyć z taką siłą, iż wywołuje reakcję w postaci dadaizmu, ruchu, powstałego podczas pierwszej wojny światowej i mającego na celu przeciwstawienie się w sztuce wszelkim teoriom w ogóle. W dążeniu tym dadaści nie cofnęli się nawet przed przeciwstawieniem się własnej koncepcji, oświadczając w swym manifestie: *Le dada est contre toutes les théories, le dada est contre le dada*. Oczywiście wprowadzenie w życie takiej negacji absolutnej nie było łatwe i wyrażało się raczej w prowokowaniu sensacyjnych skandalów artystycznych niż w pracy twórczej. Charakterystyczne jest jednak, iż po kilku latach burzliwych manifestacji dadaizm przekształcił się w surrealizm, ruch, który przy pomocy pedantycznie rozbudowanego aparatu intelektualistycznego usiłuje propagować... absolutną eliminację intelektu z procesu twórczego, biorąc za punkt wyjścia właśnie freudyzm i — co jest szczególnie charakterystyczne — komunizm.

Jest to tym bardziej znamienne, iż komunizm ze swej strony również zgłasza pretensje do regulowania spraw artystycznych, ale na drodze biegunowo przeciwnej do surrealizmu, na drodze w uderzający sposób podobnej do metod faszystów i hitlerystów. Wszystkie totalistyczne systemy polityczne występują zgodnie przeciw anarchii sztuki współczesnej, ale chcąc usunąć tę anarchię — objaw niewątpliwie szkodliwy — wpadają w drugą ostateczność i pozbawiają twórczość artystyczną wolności w ogóle, a więc elementu dla niej niezbędnego i bynajmniej nie identycznego z anarchią. Wynikiem tej polityki jest jeszcze większe wyjałowienie sztuki niż w krajach « liberalnych ».

Te kilka przykładów, wybranych spośród niezliczonej ilości współczesnych « izmów » artystycznych, dostatecznie chyba obrazują rozmiary kryzysu w dziedzinie motywacyj. Wystarczyły by one, by wytłumaczyć wszystkie dziwactwa zależnej od nich formy dzieł artystycznych. Ale w tej dziedzinie

odgrywają ważną rolę ponadto jeszcze czynniki wewnętrzno-formalne. Wspominaliśmy już o zjawisku zużywania się środków formalnych. W skutek ogromnego « rozmnożenia się » artystów, wzmożenia tempa przemian oraz pędu do pseudooryginalności proces zużywania się uległ w dobie obecnej gwałtownemu przyśpieszeniu doprowadzając do nieznanego epokom dawniejszym objawu wyczerpania się tych środków. Już wszelkie « normalne » chwytły straciły swą wartość sugestywną i konstruktywną; aby wywołać wrażenie, trzeba było sięgać do środków nadzwyczajnych. Wytworzył się stan określany przez St. Ig. Witkiewicza terminem « perwersja artystyczna ». Objawem jej jest t. zw. deformacja. W dziedzinie plastyki deformacja oznaczała pierwotnie celowe nieliczenie się w malarstwie czy rzeźbie z widzialnym obrazem rzeczywistości. Każda szkoła artystyczna inaczej motywowała potrzebę tej deformacji. Formiści twierdzą, iż jedynie poprzez deformację, można wydobyć prawdziwą konstruktywność kompozycji plastycznej (Cezanne, kubizm), ekspresjoniści stosują deformację, by wydobyć z modelu elementy najistotniejsze przez ich wyolbrzymienie kosztem cech wtórnych, surrealiści widzą w deformacji sposób wyrażenia dziwności istnienia, futuryści twierdzą, iż obraz zdeformowany przedstawia « prawdziwą » rzeczywistość. Mniejsza o te częściowe uzasadnienia. Deformacja istnieje niezależnie od nich, jest faktem, którego nie można pominąć i na który nie ma już sensu oburzać się. Właściwym bodźcem jest tu chyba przede wszystkim poszukiwanie jeszcze nieużytych środków formalnych, zwłaszcza iż środki « niezdeformowane » zostały istotnie wyczerpane przez naturalizm. Zresztą wobec odrzucenia przez szereg kierunków tezy o sztuce jako « naśladownictwie natury » sam problem deformacji przestał istnieć, gdyż przy ujmowaniu obrazu czy rzeźby jako czystej konstrukcji przestrzennej niezależnej od wzorów świata widzialnego nic nie ulega zniekształceniu. Ale « perwersja artystyczna » prowadzi w dalszym rozwoju do deformacji wyższego rzędu, w której mamy już nie odstępstwo od widzialnego świata, lecz pogwałcenie praw harmonii kształtów i barw. Tylko tego rodzaju deformacja występuje w architekturze (konstrukcja brył wbrew naturalnym proporcjom ciężarów, możliwa przy zastosowaniu nowoczesnej techniki), literaturze (nie liczenie się z logiką czy konsekwencją psychologiczną, w wypadkach krańcowych pogwałcenie składni i gramatyki) i muzyce (zerwanie z dotychczas obowiązującymi kanonami harmonii, kontrapunktu, tonacji itd.).

Ale właściwością perwersji jest, iż im bardziej chce się nasycić jej wymagania, tym gwałtowniej wzrastają jej apetyty. W skutek « rabunkowej gospodarki » nowymi środkami stanęli artyści przed groźbą zupełnego wyczerpania środków. Już wszystko wymyślono i wypróbowano, wynalazczość w dziedzinie najzuchwalszych eksperymentów zaczęła się zbliżać do kresu. Wyjścia z tego impasu nie umiano znaleźć.

Scharakteryzowaliśmy tu stan tworzywa, motywacji i środków formal-

nych w sztuce współczesnej. Pozostał jeszcze czwarty element : potencjalność twórcza. Jest to element tak nieograniczony i nieuchwytny, iż trudno mówić o jego przemianach. On poprostu albo występuje, albo go nie ma wcale. Otóż w sztuce współczesnej aż nazbyt często zapominano, iż element ten jest najważniejszym źródłem twórczości, i próbowano obejść się bez niego. Wynikło z tego paradoksalne odwrócenie wartości : ten jedyny element procesu twórczego, który ma w sobie cechy metafizycznej nieskończoności, poprostu odrzucono jako niepotrzebny i szukano źródeł natchnienia w najpospolitszej doczesności, z drugiej zaś strony w tych elementach, gdzie konkretność i uchwytność są potrzebne — a więc w motywacjach i formie — prorażono się celowo w nonsense i zaprzeczaniu rzeczywistości. Podczas gdy prawdziwy artystyczny proces twórczy polega (jak już podkreśliliśmy wyżej) na ujmowaniu niewyraźnego w sposób wyraźny, sztuka współczesna zaczęła dążyć do przedstawiania wyraźnego w sposób niewyraźny.

Nic dziwnego, że przy takiej postawie artystów współczesnych współtwórczość z nimi odbiorcy, szukającego prawdziwego nie tylko snobistycznego kontaktu z nową sztuką, stała się niemożliwa. Napozór więc sytuacja jest bez wyjścia. Zawrócenie na tej równi pochyłej, po której stacza się sztuka, nie jest możliwe. Po tylu latach coraz intensywniejszego pograżania się we współczesnej perwersji artystycznej odzyskanie dawnej niewinności i naiwności jest wykluczone. Czyżby więc sztuka istotnie zbliżała się szybkimi krokami do swego kresu, jak to przepowiadał St. Ig. Witkiewicz, którego przeświadczenie to doprowadziło nawet do śmierci samobójczej we wrześniu 1939 roku ?

Nie sądzę, by przyszłość kultury przedstawiała się aż w tak czarnych barwach. Uważam, iż kryzys współczesny, chociaż największy w dziejach kultury a w szczególności sztuki, może być przezwyciężony i to wcale nie w drodze nawrotu do stanu dawniejszego, co zresztą nie byłoby żadnym przezwyciężeniem tylko tchórzliwą rezygnacją. Przede wszystkim nie chciałbym, aby na podstawie nakreślonego przeze mnie wyżej obrazu, w którym z konieczności ograniczyłem się do przedstawienia jedynie ujemnych stron współczesnej twórczości, powstało przekonanie, iż potępiam sztukę nowoczesną w całości. Nie wszyscy artyści « modernistyczni » byli kuglarzami, jałowymi eksperymentatorami czy też snobistycznymi blagierami. Nie brak wśród nich jednostek uczciwych i twórczych, mocą geniuszu nie ustępujących wcale swym wielkim poprzednikom z epok ubiegłych. Ale wobec panującego pomieszania pojęć, w skutek którego bezkrytyczni snobi zachwycają się narówni tym, co było wielkie i co nie miało żadnej wartości twórczej, konserwatyści zaś potępiają w czambuł całą sztukę nowoczesną, oddzielenie plew od ziarna nie jest łatwe. Tym niemniej faktem jest, że ostatnie 50-ciolecie obok wielkiej, bardzo wielkiej ilości efemerycznych zdobyczy wątpliwego autoramentu przyniosło również wartości trwałe. I na tych wartościach powinno oprzeć się odrodzenie sztuki europejskiej. Już nieraz w dziejach sztuki okresy nierozumnego wrzenia

stawały się odskocznią dla prawdziwego rozkwitu; przykładem mogą być dziwactwa okresu *Sturm und Drang* w literaturze niemieckiej, bez których jednak nie pojawiłyby się takie zjawiska jak Goethe i Schiller. W epoce obecnej, już w ostatnich latach przed wojną, zaczęła występować tendencja do opamiętania się, do działalności twórczej i pozytywnej. I tak jak poprzednia wojna ogromnie przyspieszyła rozkład zarysowujący się już w początkach XX-go wieku, tak znowuż można się spodziewać, iż obecna wojna (podczas której pomimo potwornych zniszczeń kulturalnych działalność na polu kultury bynajmniej nie osłabła, ale znacznie się spotęgowała, nawet w krajach najbardziej dotkniętych klęską wojenną jak np. Polska) przyspieszy ten proces regeneracyjny.

Zastanówmy się na zakończenie, na jakiej drodze można to osiągnąć. Nie trzeba do tego wcale odrzucać zdobyczy nowej sztuki, trzeba tylko przywrócić sprawom właściwe proporcje. Przede wszystkim nie zapominać, iż potencjalność twórcza jest pierwszym i niezbędnym warunkiem wszelkiej twórczości artystycznej, i nie zastąpią jej ani żadna dowolnie wymyślona koncepcja (a więc motywacje nie wypływające z impulsu twórczego) ani najdoskonalsza nawet technika (a więc traktowanie formy jako celu samego w sobie). Z chwilą, gdy dochodzi do głosu potencjalność twórcza, motywacje zyskują pokrycie, wytwarza się pewna baza dla kryteriów, wprawdzie może subiektywnych, ale nie dowolnych. Nie usunie to oczywiście wielości motywacyj, o co wcale nie chodzi, ale zmusi artystów do poczucia odpowiedzialności i umożliwi wzajemne docenienie i zrozumienie się. Wówczas forma stanie się materialną konkretyzacją motywacyj zapłodnionych przez impuls twórczy, przestanie być nieodpowiedzialną zabawą w eksperymenty. I tym samym automatycznie wyeliminuje się groza « wyczerpania środków ». Ważne bowiem będą nie tyle same środki, ile użytek, jaki się z nich robi. A w tej dziedzinie możliwości są nieograniczone. Artyści, zamiast martwić się, że nie mogą już wymyślić nic nowego, powinni się cieszyć, że mają do rozporządzenia tak niezmiernie bogactwo środków. Prawdziwa bowiem oryginalność polega nie na stosowaniu chwytów niepodobnych do innych, lecz na istotnie twórczym użyciu środków chociażby nawet szablonowych.

Zmienić się powinien również stosunek twórców do « tworzywa psychicznego », do klimatu epoki. Zamiast poprostu biernie wyrażać skłócenie epoki, artysta powinien dążyć do opanowania tego klimatu, do wydobycia z niego elementów dodatnich i twórczych i do ich sublimacji. Istniały czasy, w których artyści umieli spełnić to zadanie, i wówczas zasługiwali na rolę przewodników ludzkości. Oczywiście — wobec rozmiarów kryzysu współczesnego — zadanie takie nie jest łatwe i może być dokonane jedynie zbiorowym wysiłkiem. Pomóc artystom musi w tym również społeczeństwo. Z chwilą, gdy artyści źródeł swego dzieła będą szukali w impulsie twórczym a więc w tym, co w nich jest najbardziej ludzkie, potracą o struny, istniejące w każdym

wrażliwym człowieku. Wtenczas będą naprawdę oryginalni a zarazem nie będą celowo usuwać wszelkiej możności porozumienia się z odbiorcami.

Tylko na tej drodze sztuka, nie tracąc nic ze swej nowoczesności, będzie mogła stać się znowu dobrem społecznym. Po katastrofie, w jaką sztukę zapędziła realizacja hasła « sztuka dla sztuki », stosunkowo wcześniej zrozumiano potrzebę powrotnego uspołecznienia sztuki. Ale upatrując przyczynę zła w wybujałym indywidualizmie starano się osiągnąć obiektywizm przez negację indywidualności bądź w nieograniczonym uwielbieniu techniki formalnej, bądź też w tzw. « nowej rzeczowości », stawiającej sztukę na usługach społeczności życia codziennego. W obu wypadkach pozbawiono sztukę tego życiodajnego źródła, jakim jest potencjalność twórcza. I oto coraz lepiej widzimy, iż romantyczny postulat indywidualizmu musi pozostać w mocy, ale musi być to indywidualizm uspołeczniony, polegający na wyrażeniu najistotniejszych i najgłębszych cech własnej osobowości, które są u wszystkich ludzi podobne. Właśnie Polakom pojęcie uspołecznionego indywidualizmu nie powinno być obce, gdyż już przed przeszło półwiekiem postulat ten był wyraźnie postawiony przez polskich myślicieli, przede wszystkim przez Norwida. Cóż, kiedy potrzeba było dopiero olbrzymiego wstrząsu psychicznego, jaki przechodzi obecnie naród polski, by zaczęto Norwidem interesować się nie tylko z punktu widzenia estetyzującego snobizmu.

A znaleźć można u niego nie tylko teoretyczne lekarstwo na bolączki obecnej sztuki, lecz również wskazania praktyczne, w pierwszym rzędzie postulat ponownego powiązania pracy z pięknem. Sam fakt, iż uzdrowiona sztuka współczesna przestanie być hermetycznie zamknięta dla odbiorcy, jeszcze nie wystarczy. Koniecznym jest uczynienie sztuki z powrotem potrzebą życia codziennego, nie przez zniżenie jej ku pospolitości, jak to czynią adepci « nowej rzeczowości », lecz odwrotnie, przez przepełnienie codziennych zajęć twórczym pierwiastkiem. Nie dokona się tego bez zasadniczej przebudowy warunków społecznych, bez zerwania z systemem seryjnej i zmechanizowanej pracy. Nie dokona się tego bez gruntownej zmiany ideału społecznego, bez zrozumienia, iż dobrobyt gospodarczy nie jest celem w sobie, lecz jedynie środkiem umożliwiającym człowiekowi nie tylko wegetację lecz rozwój własnej osobowości.

Oczywiście naszkicowane powyżej rozwiązanie nie jest łatwe do urzeczywistnienia. Tym niemniej jest konieczne i konieczność tę zaczęto w ostatnich latach coraz bardziej i coraz powszechniej rozumieć. Fakt ten pozwala żywić nadzieję, iż pomimo barbarzyństwa szalejącego w tej chwili na całym świecie doczekamy się jeszcze nowego odrodzenia wartości twórczych. Jeżeli to nastąpi, zostaną w pełni odkupione nawet potworne zniszczenia kultury materialnej, jakie już zostały w Europie dokonane i jakie jeszcze będą dokonane w ciągu obecnej wojny.

DR. KONSTANTY REGAMEY.

WESTCHNIENIE STRZELISTE
NAD POLITYCZNĄ DEBATĄ W LUTYM 1943r.

*Czerwony księżyc, wnuk rodzony
tego, co Słowackiemu świecił,
od wschodniej płynie do nas strony,
a może jemu my, naprzeciw?
W rewolucyjny szkarłat strojny,
nie hetman, a — komisarz polny!*

*Czerwony księżyc, to już była
zawsze specjalność Ukrainy
w poezji, gdzie się urodziła,
gdzie księżyc z ojca szedł na syna.
A ta znów jasna aureola,
to świeci blady pan Bobola.*

*Oto Warszawa jak westchnienie.
Na stare lata znów w niewoli
wzłata co nocy świętym cieniem
cień, czyli duch Księdza Boboli.*

*Święty Andrzeju, Męczenniku!
kość z naszej kości, i krwi naszej
rdzawa relikwio, polityków
ucieczko, gdy ich w nocy straszy,
lub, łunatyków, we śnie ludzi
czerwony księżyc, łowca ludzi —*

*Wyegzorczyzmuj, Święty Cieniu,
złe moce, i nas, NIE W ZWĄTPIENIU!*

JERZY GAJEWSKI.

« HITLER M'A DIT... »*

Dość. Nie trzeba mi waszych rad. Podszeptów. Wniosków.
Chcę być sam : ja wiem, jeden, w ciszy Berchtesgaden,
Gdy świat ważę na dłoni i, jak kulę z wosku,
Gniotę w palcach, że będzie — jaki chcę... lub — żaden.

Wam — starczy grzmot tryumfu pancernych dywizji,
Starczy władztwo pół-globu : z Grenlandji do Syrji...
Wam strasznoy raz zajrzeć w oczy mojej wizji,
Strasznoy raz usłyszeć cwał moich Walkirji...

Zechcę : ziemię zatrzymam. Słońce pchnę nanowo.
Góry morzem zaleję, a z dna oceanów
Wydźwignę nowe miasta. I nowe im Słowo
Ogłoszę — Ewangelji nowych i Koranów.

Zapłonie wyrok jego w ognistych literach,
Jak gwiazdozbiór, na nieba zczerniałej kopule...
A Bóg czytać go będzie. I, płacząc, umierać —
I cierpieć... chrześcijańskim, bogo-ludzkim bólem...

Lecz nim skona, na pożar patrząc Swej Walhalli,
Ja — w mszalnych, lilijami pachnących obrusach —
Zatańczę, jak Salome, taniec siedmiu szali
Przed Nim, głowy żądając bladego Chrystusa...

Potem, martwą na misie z koralu ją złożę,
Tańcząc — dla ciebie teraz, o człowieku Nowy,
Bezlitosny i piękny... Młody, własny boże,
Miażdżący stopą wieniec męki chrystusowej.

Będiesz stał, bosko-nagi, sprężony do skoku,
Z drapieźnym okrucieństwem na świat patrząc zgóry,
Równy bogom — potęgą nieulekłą wzroku,
Lucyferom — dzikością mądrą pranatury!

— A gdy krąg już ostatni, krąg siódmy, dotać —
Przyjdzie chwila :
Świat wstrzyma oddech... Będzie straszliwie... I cicho...
Ja — w usta tve, nabrzmiące pogardliwą pychą,
Tchnę tajemnicę moją : władzy —

Samozwańczej...

JERZY BRZOWSKI.

* Wiersz ten napisany został w kwietniu 1941 roku, jako próba poetyckiego ujęcia tragicznej i groteskowej postaci Adolfa Hitlera na tle tych sugestyj, jakie zawiera głośna książka Hermana Rauschninga, która ukazała się w swoim czasie pod tym właśnie tytułem.

WIATR OD WSCHODU

Autorowi wiersza « Fiodor Michajłowicz » na pamiątkę
wspólnego pobytu na fryburskich Okopach św. Trójcy.

*Z sybirskiej tajgi, z nad Leny, Kamczatki,
Z nad Jenisieju i z nad Wołgi-matki,
Z turkmeńskich stepów i z tundry Buriatów
Wstał wiatr — dmie w oczy zachodniemu światu.*

*Słychać w nim tętent hord tatarskich głuchy
I chichot biesów co w zamieci gonia,
Jęk tratowanych spod kozackich koni
I pieśń straceńców z nad Wołgi: — ej, uchniem!...*

*W dzikim poświście słowiańskiej mietieli
Dziwnie znajoma i złowieszcza nuta:
Ten wiatr chwiał kiedyś w carskiej cytadeli
Tragicznym trupem Traugutta!*

*Wstał wiatr od Wschodu. Taki ukaz z Kremla.
Dosiadł Słowianin tatarskiego konia,
Hej — ruszył znowu w naddunajskie błonia!
Jęknęła ziemia!...*

*Zbladły polarne, borealne zorze,
Sto miast, sto stolic jaśniej od zórz płonie...
Już milknie okrzyk: Do broni! Do broni!...
Rośnie rozpaczne: Ratuń się, kto może!...*

*Ongiś na Kremlu były — cariu — dzwony.
Dziś on nie biały już — ale czerwony,
Dziś już nie dzwony biją — ale działa:
Cariu Wszechrosji — chwata, wieczna chwata!...*

*Od dział tych huku runą stolic mury.
Taki się ukaz da całemu światu:
Nastał sowieckiej teraz czas kultury
Proletariatu!*

*Niech się Europa splawi we krwi nurtach,
Niech runie Piotra świętego kopuła —
W Rosji się znajdzie nowy Wielki Mułła
W jakuckich jurtach.*

*Bo czemu Moskwa gorsza jest od Rzymu,
Czem gorszy namiot od pałaców doży,
A od markizów — Tatar dziki z Krymu,
A od cesarów — Bicz Boży?!*

*Węgiel z Donbasu, żelazo z Uralu,
Wicher z nad stepu, Słowianin z nad Wołgi
Wreszcie się światem zbutwiałym przewalą
Sowieckim moguszczyńskim czołgiem!*

*Napoi w Lemanie Słowianin swe konie
Wśród ciszy głuchej dokoła —
I któż odgadnie, że wód ciche tonie
Odbiły oblicze — Mongoła.*

6. II. 1944.

BRONISŁAW MIAZGOWSKI.

WOŁANIE Z ROZDROŻY

*Dlaczego teraz nie mogę, jak dawniej
myślą spragnioną, słać rodzinnym brzegom
wszystkich mych tęsknot, choć się tyle garnie
aż pierś rozpęka...*

Dlaczego? Dlaczego?

*Dlaczego teraz, gdy o Tobie myślę,
gorycz za gardło ulapia i dusi...
Dlaczego rozpacz na usta się ciśnie,
gdy głos Twój słyszę, śpiewna, bujna Rusi!*

*Dlaczego jary zielenią soczyste
teraz się w fiolecie żałobnym okryły
i jak tragicznie otwarte mogiły
swym chłodem mrożą tęsknotę mą czystą,
a wiatr drzemiący w gałęziach wierzbiny
na myśl przywodzi płacz i kij pielgrzymi...*

JANUSZ KUCHARSKI.

INTELIGENCJA POLSKA NA CENZUROWANYM

W bogatej twórczości Elizy Orzeszkowej, której liczne powieści, nowele i artykuły przeorały w swoim czasie umysłowość polską, spotykamy się z postacią szewca Kępy. Ten mistrz dratwy, zresztą kiepski reprezentant swego zawodu i właśnie dlatego dysponujący wolnym czasem, patrząc godzinami przez zapajęczone okienko swojego ubogiego warsztatu na świat boży, zabija czas filozofią społeczną. Jest ona bardzo swoista, niska i ciasna jak jego warsztat. Zasłużona pisarka przeciwstawiła się w ten sposób zapędowi radykalizmu społecznego, który w ostatnich dziesiątkach XIX wieku zaczął być brać nas w swoje posiadanie, docierając już nawet do małych, nadniemeńskich miasteczek. Orzeszkowa w bardzo zajmujący i pogładowy sposób kreśli w swym opowiadaniu o szewcu Kępie obrazek, który stanowi ciekawy dokument literacki procesu promieniowania zaczątków socjalizmu na nasze warstwy rzemieślnicze.

Niewątpliwie jest w tym obrazku wiele z krzywego zwierciadła satyry społecznej, a może nawet i z uprzedzenia klasowego ziemianki Orzeszkowej. Historię o szewcu Kępie pisze ona już w pełni swej dojrzałości twórczej, powiedziałbym nawet, w okresie jej jesiennym, w którym każdy niemal człowiek zaczyna powoli zapominać o ideach światoburczych swej młodości, i skłania się raczej do *sui generis* konserwatyizmu życiowego. Rządzą nim już wtedy współczynniki, które — jak się to mówi — wyszło się z mlekiem matczynym. Niemniej jednak starzejąca się, czcigodna pani Orzeszkowa utrafiła i tym razem w sedno rzeczy — poruszając zagadnienie krytycyzmu myślowego, właściwego ludziom na całym świecie, a występującego w warunkach, których powtarzanie się pozwala ze ścisłością niemal przyrodniczą opisać jego istotę i konsekwentne wyciągnąć wnioski.

Krytycyzm myślowy jest zatem reakcją jednostek, czy też pewnych grup społecznych, która występuje w przełomowych momentach życia indywidualnego, lub zbiorowego. Przejawia się on m. in. w próbach zbilansowania przeszłości, wydania o niej sądów, w których moment negatywny przeważa nad pozytywnym. Wynika stąd dalej rewizjonizm, dążący na drodze ewolucyjnej albo rewolucyjnej do nowego kształtowania życia ludzkiego w jego najróżnorodniejszych przejawach. Towarzyszy mu głęboka wiara, fanatyzm, bezkompromisowość i bojowość. Z biegiem czasu wszystkie te czynniki przechodzą w stan dosytu, który łagodzi początkowe jaskrawości i uniesienia.

Nowe jeszcze wczoraj hasła stają się zażywnymi normami, potem starzejają się... aby skolei rzeczy paść łupem nowego rewizjonizmu.

Opatrzność, jak stary kapelmistrz, zaczyna uwerturę *da capo*.

Mistrz dratwy Kępa, snujący gdzieś w nadniemeńskiej mieścinie plany reform socjalnych, jest jakimś tam atomowym odpryskiem tego procesu, jedną niepozorną nutką w olbrzymiej partyturze tej uwertury. Jakże nikłym atomem, jeśli postawić go zechcemy obok wielkich prawodawców, myślicieli, pisarzy, artystów, wodzów, którzy podzielili na okresy i podokresy historię świata antycznego, którzy wydarli Europę ze skostniałego uścisku scholastycznego średniowiecza, czy choćby całemu światu ukazali poprzez opary krwi francuskiej noblessy perspektywy demokratyczne.

II

Faktem, wynikającym z egoizmu ludzkiego, jest skłonność doszukiwania się przyczyny złego losu, który nas chwilowo czy dłużej trapi, poza nami. Być może, że jest to przejaw instynktu samozachowawczego, rodzaj samoobrony wewnętrznej, która silniejszą jest nieraz w człowieku niż nakazy religijno-etyczne. Instynkt ten broni go przed załamaniem wewnętrznym, przed utratą życiowej prężności, która obrała sobie siedzibę nie tyle w dobrze wyszkolonych mięśniach, ile raczej tkwi gdzieś wśród dyspozycji psychicznych, inaczej mówiąc, w duszy naszej. Atakowana jest ona nierzadko przez różne choroby, które mogą doprowadzić człowieka do skrajności wręcz przeciwnych. Z psychologicznego punktu widzenia mamy natenczas do czynienia z różnymi rodzajami melancholii, neurastenii i innych chorobliwych przypadków, którymi zająć się musi doświadczony psychopatolog.

Powyższe przejawy zarówno instynktu samozachowawczego, jak i jego chorobliwych negacji, niezależne są od środowiska, z jakiego pochodzi człowiek. Mogą one dalej występować w jednostkach oraz w różnych jej zgrupowaniach. W tym ostatnim wypadku mówimy wówczas o zbiorowej sugestii, społecznej psychozie, charakterze narodowym i t. p.

Śledząc dzieje naszego narodu, zwłaszcza okres porozbiorowy, zmartwychstania państwowego i ostatnich lat nowych klęsk, zauważymy odrazu, że na przestrzeni tych stu kilkudziesięciu lat nagromadziło się w nas sporo takich sugestij i psychoz. Tłuką się one po całej naszej umysłowości w ciągu tego okresu z jakąś dziwną uporczywością i są przyczyną zgorzkniałych poglądów, samobiczowania się ekspiacyjnego, co wszystko razem odbiega nieraz daleko od rozsądnego porachunku sumienia narodowego. Zły los skazał nas właśnie na szczególnie ostry kryzys chorobowy, w trakcie którego narażeni jesteśmy na specjalnie dokuczliwe ataki.

Celem niniejszych rozważań nie będzie analiza wszystkich tych przejawów. Chodzić będzie raczej o jeden z nich, który w długoletniej naszej tułaczce

na obczyźnie poczyna urastać do rozmiarów kompleksu. Trudno mu nadać jakieś miano. Odnoszę jednak wrażenie, że tytuł artykułu, który został mi poddany w czasie rozmowy na powyższe tematy, najlepiej utrafia w jego istotę. Od lat już bowiem kilku bawimy się w cenzurowane. Na krześle zasiadają kolejno różne zagadnienia i osoby, które w ciągu dwudziestolecia naszej niepodległości państwowej składały się na treść tego okresu.

Jak to bywa w czasie takiej zabawy — poziom jej dowcipu zależy od osób, które biorą w niej udział. Ale nietylko ten współczynnik odgrywa tutaj rolę decydującą. Drugim, niezmiernie ważnym, momentem jest również i czas. Im bardziej oddalamy się od chwili, która brutalnym wstrząsem wyrwała nas z normalnego życia — tym więcej niezdrowego powietrza gromadzi się w pokoju, czy salonie, gdzie odbywa się ta zabawa w cenzurowane. Trzecim i ostatnim faktorem jest lokalny koloryt, a mianowicie internowanie, ten « błogostan », w jaki przeznaczenie wtłoczyło część naszej emigracji. Przypomina on owo ciche, spokojne ustronie greckiego Hadesu, gdzie przebywały po śmierci dusze ludzi sprawiedliwych i zasłużonych. Fantazja poetycka ślepego Homera kazała mu tam umieścić po bohaterskiej śmierci duszę Achillesa. Kiedy tułacz Odyss po niezliczonych przygodach ma okazję złożyć wizytę staremu towarzyszowi broni spod Troi i rozwodzi się w pochlebnych słowach nad szczęściem spokojnego bytowania w Hadesie — otrzymuje zdumiony odpowiedź od Achillesa, że wolałby on na ziemi jako żywy człowiek pasać świnię u swego ojca, niż tutaj w krainie cieni królem być po śmierci. Myślę, że ten epizod z Odyssei wyjaśnia dostatecznie istotę tego « błogostanu », który w prawie publicznym nazwany został internowaniem i jest przedmiotem nawet zachwyty z strony niektórych współrodaków, ubranych w skromne ubrania cywilne.

Tak to więc bawimy się w cenzurowane w « przytulnych » barakach, w pokojach, w lokalach publicznych — oczywiście w godzinach na to wyznaczonych. Jedną z ulubionych postaci, którą widzi się chętnie na krześle, jest polskie życie społeczne. Wsadza mu się szpilki reformatorskie, uzdrawiające, w różne części ciała. Mówi się przytem rzeczy nieprzemyślane, bzdurne. Ale nietylko się mówi. Piszę się również, idąc w zawody z autorem egzotycznej powieści p. t. *Der letzte Marsch*. Dopóki taka zabawa nie przekracza granicy baraków, pokoi oraz własnego grona w lokalach publicznych — pół biedy. Kiedy jednak rezultatem jej stają się artykuły, książeczki, odczyty, wywiady prasowe — staje się ona niesmaczną i świadczy o utracie poczucia odpowiedzialności. Mimowoli można ją wtenczas łączyć z usiłowaniami różnych naszych przyjaciół zagranicznych, którzy przez opowiadanie kuchennych anegdotek pracują wytrwale nad wyrobieniem sobie stylu faktomontażowego. Jest to sposób pisania i modny i wygodny. Nakład bardzo wysoki, a wysiłek niewielki : przyjemna jazda pociągiem lub samochodem, czasem nawet samolotem na darmo, kilka postojów w

przedpokojach gabinetów ważnych osobistości, mała przechadzka tu i ówdzie, no a przede wszystkim ten niezawodny instynkt reporterski. To coś, co zawsze utrafia w sedno zagadnienia. Szósty zmysł!

Mam przed sobą książeczkę, artykulik, artykuł, oraz maszynopis długiej rozprawy, która na szczęście nie ukazała się jeszcze w druku. Wszyscy autorzy, mówiąc o różnych zagadnieniach społecznych w Polsce, zahaczają o sprawę « polskiej inteligencji ».

Przypatrzmy się, jak wygląda taka zabawa w cenzurowane...

III

Pierwsze wielkie nieporozumienie — to postać siedząca na krześle.

Kogo zalicza się bowiem do tej inteligencji? Jaką odrębną grupę społeczną stanowili ci inteligenci w Polsce?

Przede wszystkim samo określenie « inteligent » jest dziwolągiem językowym, spotykanym bodaj tylko w dwóch krajach: w Polsce i Rosji. Narodził się on przed kilkudziesięciu laty w okresie żywych polemik społecznych, zdobywając sobie prawo do życia w niewytłumaczony sposób. Wiemy z licznych przykładów, jakich dostarcza nam historia słowotwórstwa, że w różnych okresach swego rozwoju każdy język pęcznieje niespodziewanie od różnych nowotworów. Niektóre z nich zdają egzamin i ostają się, inne okryte śmiesznością zanikają prędko.

W znaczeniu międzynarodowym do inteligencji jakiegoś narodu zalicza się ludzi, którzy poziomem swego umysłowego wykształcenia i zdolności wybijają się na czoło społeczeństwa. Wywierają oni wpływ na jego życie duchowe, kształtują je na różnych odcinkach, reprezentują jego kulturę.

W nauce psychologii przez termin inteligencja rozumie się zespół psychicznych dyspozycji, które człowiek przynosi ze sobą na świat i dzięki którym różni się on od zwierzęcia. Ilość i jakość tych dyspozycji bywa różna. Stąd mówi się o ludziach genialnych, bardziej zdolnych, mniej zdolnych, niezdolnych, tumanach. Wrodzone człowiekowi zdolności muszą być następnie szkolone przez zdobywanie wiedzy. Tutaj znowu okazuje się, że u jednych szkolenie to może iść daleko i wszechstronnie, u innych daleko ale jednostronnie, u jeszcze innych niedaleko i jednostronnie i t. d., i t. d. Możliwość kombinacji niezmierna.

Z punktu widzenia socjalnego inteligencja nie jest więc cechą, która decyduje o przynależności do jakiejś warstwy społecznej. Szewc Kiliński był niewątpliwie człowiekiem inteligentnym, a należał do warstwy rzemieślniczej. Rocha Kowalskiego Sienkiewicza, aczkolwiek pieczętował się herbem, zaliczymy jednakże bez wahania do pocziwych głuptasów.

Dlatego też sądzę, że nasza przedwojenna Kasa Chorych, czy Ubezpieczalnia, popełniając wiele błędów społecznych, jednego umiała szczęśliwie

uniknąć : wynalazła określenie « pracownik umysłowy », które już bardziej skonkretyzowało ten mętlik terminologiczny. Wynika zeń jasno, że chodzi tu o kogoś, kto pracą swego umysłu zarabia na codzienny chleb. Jest nim buchalter, sekretarz gminny, nauczyciel, profesor, literat, dziennikarz, artysta i t. d. Wszyscy oni pochodzą z różnych warstw społecznych, nie wszyscy jednak reprezentowali polską kulturę. Jedni z nich pracowali nad jej dalszym rozwojem, drudzy byli konsumentami pracy pierwszych, a jeszcze inni hodując króliki, czy zbierając znaczki pocztowe, w czasie wolnym od zajęć biurowych — zatrzymali się w swoim rozwoju umysłowym, konserwując jedynie tę trochę dyspozycję psychicznych, które potrzebne im były do utrzymania się w rutynie zawodowej.

W ten sposób treść pojęcia « człowiek inteligentny » — taksamo zresztą jak gdzieindziej — była i w Polsce ciągle płynna, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę i to, że nasi pracownicy fizyczni : rolnicy, robotnicy, rzemieślnicy pasjonowali się także nierzadko teatrem, książką, lub dobrym filmem. Oryginalnego myśliciela-poetę poznałem na jednej z wycieczek kajakowych w odludzie poleskie. Był analfabetą, łowił ryby, ubrany był prawie w łachmany, ale duszę miał przebogata w subtelne myśli o świecie i ludziach. Dlatego też w zabawę w cenzurowane wkrađło się nieporozumienie, *error in persona*. Na szczęście pomyłka ta nie wychodzi poza ramy towarzyskiego wieczoru, a jeśli nawet wyraża się ona w pewnej pasji — to i ta wyładowuje się tylko na ciepłym papierze i klawiszach maszyny do pisania. Gorzej już jednak przedstawia się sprawa dzielenia się swymi uwagami na ten temat z naszymi gospodarzami.

IV

Stwierdziwszy pomyłkę co do samej osoby, posadzonej na krześle, wyjmijmy kilka plotek z worka zbierającego.

T. zw. inteligencji polskiej zarzuca się coś w rodzaju dziedzicznego obciążenia, wyrażającego się w kontynuowaniu kastowości, odgradzającej się murem pogardy i uprzedzenia od reszty społeczeństwa. Dziedziczne obciążenie tłumaczy się konserwatyżmem szlacheckim, który ciągle jeszcze w nas pokutuje na różny sposób — i to specjalnie właśnie w Polsce. Jeden autor motywuje to w rozległy sposób, bo zaczyna aż od Piasta i przebiega w podskokach historię, kończąc na ostatnim zakręcie dziejowym. Inny poddaje analizie dyscyplinę naszego narodu. Jeszcze inny dochodzi do wykrycia prawd dziejowych Polski, stwierdzając zaś niski stan podręczników do nauki historii — zaleca rozpoczęcie studiów... od Małego Rocznika Statystycznego. Plotka ta istnieje w naszej umysłowości od czasów t. zw. Szkoły Krakowskiej, która w przesadnej krytyce naszej przeszłości przejawiała ujemne objawy życia państwowo-społecznego w dobie przedrozbiorowej, usiłując udowodnić, że nasza śmierć państwowa u schyłku XVIII wieku była logicznie uza-

sadniona naszymi błędami ustrojowymi. Jest to zresztą sąd nietylko Szkoły Krakowskiej. Zaborcza szkoła pruska, rosyjska i austriacka, zmobilizowawszy swoich historyków i pisarzy, pracowała gorliwie nad zaszczepieniem analogicznych poglądów dorastającym pokoleniom młodzieży polskiej.

Czepiano się z satysfakcją cieniów naszej przeszłości, obrabiając zawzięcie zwłaszcza czasy saskie i wykorzystując z przewrotną sumiennością fakty, które podawano opinii świata i polskiego społeczeństwa w specjalnie zaprawionym sosie. Literatura niemiecka rychło zapomniała o *Polenlieder* i atmosferze lat 1846, 1848. Polityka Bismarcka zaprzęła do swego wozu ludzi choćby w rodzaju Freytaga, który rozwodząc się w swoich powieściach nad niemieckim ładem i porządkiem, podmalowywał jego tło kontrastem polskiego bałaganu.

Nie leży w moich zamiarach jakieś odbronzowywanie naszej przeszłości « szlacheckiej ». Chodzi mi jedynie o zwrócenie uwagi na to, że nie byliśmy w błędach naszych odosobnieni i gorsi od innych narodów, z których każdy ma przecież swoją przeszłość.

Jeżeli np. Ponińskiego oplącał Stackelberg, zaś Branickiego Katarzyna — to nie lepszym był od nich choćby Karol II (1660-1685) w Anglii, biorący pieniądze za obietnice zmian we własnym kraju, albo opozycja parlamentarzystów angielskich siedząca stale w kieszeni ministra Roberta Wapole (1721-1742).

Zarzuca się naszym stosunkom społecznym wspomniane już wyżej uprzywilejowane stanowisko szlachty. A przecież wiadomym jest powszechnie, że położenie chłopca od drugiej połowy XVI wieku zaczęło się zmieniać na gorsze w całej Europie. Pojęcie *glebae adscriptus* istniało nietylko u nas.

Janssen w *Geschichte des deutschen Volkes*, opisując stosunki społeczne w Niemczech w tych czasach, stawia wkońcu zapytanie, czyja dola jest lepsza czy dzikiego zwierza długo hodowanego, ale krótko szczutego, czy też stale szczutego, ale nigdy nie hodowanego poddanego.

Jean de la Bruere pisze we Francji w r. 1688 : « Widać po wsiach pewne dzikie zwierzęta, samców i samice, czarne, opalone od słońca, przywiązane do ziemi, którą ryją i kopią z dziką zaciekłością. Kryją się na noc do jam, gdzie żyją czarnym chlebem, wodą i korzeniami. Mają jakgdyby mowę, a gdy wstają na nogi, pokazują twarz ludzką : w istocie są to ludzie. » Mówi oczywiście o chłopach.

W tychże samych zachwalanych Niemczech szlachcic w XVI wieku był wolny od cła, sprzedając, albo wywożąc własne produkty wiejskie, prowadząc dla siebie towar zagraniczny. Przywilej ten przez nadużycia zrujnował niemieckie mieszczaństwo i kazał mu rychło zapomnieć o wspaniałym rozkwicie w okresie średniowiecza. Z tego jednak powodu żaden historyk niemiecki nie wyciąga wniosku, odmawiającego narodowi niemieckiemu prawa do bytu. Uzasadnia natomiast te stosunki szeroko prawami historycznego rozwoju pojęć, które oczywiście nie mogą mieć zastosowania do Polski.

Prace i badania naszych ekonomistów, wymienię choćby Wawrzyńca Surowieckiego i Henryka Radziszewskiego, do których odsyłam naszych internowanych biadolników pseudohistoriozoficznych, udowadniają licznymi faktami i cyframi, że nasze mieszczaństwo w wieku XVI, a nawet jeszcze w XVII — kiedy to szlachta polska osiągnęła szczyty swojego rozwoju społecznego — było stanem zamożnym. Upadło potem, ale w czasie, gdy na zachodzie Europy zapomniano już dawno o świetnej epoce miast.

Przypatrzmy się jeszcze przez moment prawnopolitycznym stosunkom polskiego mieszczaństwa.

Konstytucja *Nihil novi* uchwalona została w 1505 roku na sejmie radomskim głosami nie tylko szlachty, ale i mieszczan. Konstytucja, która na długo pozostała podstawą ustroju państwowego.

A. Szelągowski w swej pracy p. t. « Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce » stwierdza m. in. : « Sejm piotrkowski r. 1565, który przeprowadził szereg uchwał, dotyczących polityki handlowej, odbył się właśnie przy udziale posłów miejskich, którzy bronili swoich interesów i do których życzeń Izba poselska stosowała się niejednokrotnie, przyjmując poprawki rozmaite w ustawach. »

Mieszczanie zdobywali wyższe urzędy, szlachta nazywała ich w urzędowych aktach « braćmi », od udziału w sejmach nie usuwa mieszczan żaden przepis polskiego prawa państwowego. Konfederacja generalna warszawska w roku 1573 mówi o sobie : « My rady koronne duchowne i świeckie, rycerstwo wszystko i stany insze jednej a nierozdzielnej Rzeczypospolitej » — przyczem przez « stany insze » rozumie właśnie mieszczaństwo. Wszystkie dalsze konfederacje, sejmy konwokacyjne i elekcyjne, nie obywiają się bez przedstawicieli miejskich. W akcie wyboru króla biorą udział miasta : Kraków, Wilno, Lwów, Poznań, Warszawa, Lublin, Kamieniec, Gdańsk, Toruń, Elbląg — do końca istnienia Rzeczypospolitej. W r. 1668 posłowie miejscy podpisują abdykację Jana Kazimierza, w r. 1733 potwierdzają *pacta conventa*. W XVII i XVIII wieku widzimy liczne miasta, których zarządy zdobywają tytuł *nobiles*, naskutek czego zrównane zostają w swojej osobowości prawnej ze szlachtą. Okrzyczany argument krzywdy społecznej, polegającej rzekomo na pozbawieniu mieszczan prawa posiadania majątków ziemskich, zmienia niewątpliwie swój charakter, jeśli uświadomimy sobie, że nie inaczej było w innych krajach, że w Prusiech zakaz ten został zniesiony dopiero w 1807 roku, że natomiast w Polsce nie obejmował on nigdy mieszkańców Lwowa, Krakowa, Lublina i Wilna. Ponieważ obywatelstwo tych miast można było dosyć łatwo uzyskać — ograniczenie w prawie nabywania ziemi przez mieszczan w Polsce nie istniało nigdy w całej pełni. Kiedy na zachodzie w XVII i XVIII wieku dawny samorząd miast stał się fikcją, ponieważ członków rad miejskich i urzędników miejskich mianował bezpośrednio monarcha — w Polsce nadzorowali wprawdzie rady miejskie królewscy starostowie, ale wewnętrzny urząd pozostał nietknięty.

Konstytucja 3 maja 1791 r. głosami wyłącznie szlacheckimi nadała znowu miastom zreformowany nowoczesnie, pełny samorząd.

Sytuacja chłopca, stanowiącego najliczniejszy stan w Polsce przedrozbiorowej, również nie była gorsza, niż na zachodzie Europy. Ewolucja od wolnego kmiecia do stanu poddania go władzy patrymonialnej pana dokonuje się tam nawet o wiele prędzej, niż u nas. Liczne przykłady ciemnienia chłopca we Francji, Niemczech i gdzieindziej znane są powszechnie. W Polsce nie było książąt, noszących pasy ze skóry chłopskiej, nie spotykamy też gromadnych ucieczek ludności wiejskiej pogranicza. Nikt u nas nie uprawiał handlu ludźmi, jak np. znany landgraf heski Fryderyk w latach 1776-1784, sprzedający za gotówkę rekruta do Anglii. Kresy wschodnio-południowe Rzeczypospolitej mają wprawdzie swoją burzliwą przeszłość, na Podhalu w r. 1651 wybucha bunt chłopski pod wodzą Kostki Napierskiego — spróbujmy jednak zestawić takie objawy z wojnami chłopskimi na zachodzie i aktami straszliwych represyj, z jakimi spotykały się te wybuchy zbiorowej rozpaczy. Z porównania tego okaże się, że zarówno czasowo jak i swymi rozmiarami powyższe zjawiska tarć społecznych w Polsce nie dorównują temu, co się działo na zachodzie Europy.

Już w czasie pierwszego rozbioru rząd rosyjski motywuje domniemane krzywdy, jakie Polska mu wyrządziła, argumentem, że 300.000 chłopów zbiegło do Polski z pogranicznych krajów moskiewskich. Uciekali do nas chłopci także z Pomorza, ze Śląska, z Moraw. Grünberg w pracy p. t. *Bauernbefreiung in Böhmen, Mähren und Schlesien* pisze o zawarciu w XVIII w. przez rząd austriacki traktatów, które zobowiązywały do wydawania tych zbiegów. Podkreśla on, że jedna tylko Polska nie podpisała ich, bo jej włościanie nigdzie nie uciekali.

Najciężej powodziło się naszemu chłopcu w XVII i XVIII wieku, ale tradycje naszej literatury społecznej, którą stworzyli Skarga, Górnicki, Ostroróg, Andrzej Frycz Modrzewski, czynią ten okres znacznie krótszym, niż gdzieindziej. Doskonały znawca ustroju Polski Oswald Balzer stwierdza, że pańszczyzna nie osiągnęła u nas nigdy tych rozmiarów, co na zachodzie. Ulanowski w dziele p. t. « Wieś polska pod względem prawnym od XVI do XVII w. » zwraca uwagę na wzajemność świadczeń materialnych, na pewien rodzaj autonomii, na charakter instytucyj gromadzkich, współdziałających przy załatwianiu niektórych spraw bieżących oraz wydających postanowienia, które niejednokrotnie przechodziły w ustawy. Włościanie dóbr koronnych, a częściowo i duchownych, korzystali z pewnych praw cywilnych i pozostawali pod opieką państwa. Zainicjowana przez króla Stanisława Leszczyńskiego w traktacie « Głos wolny » idea poprawienia stanowiska prawnego, dobrobytu i oświaty stanu chłopskiego wydaje szybko owoce. Około r. 1740 obserwujemy próby nowoczesnych reform w latyfundiach magnackich Jabłonowskich, Zamoyskich, Lubomirskich, Brzostowskich, Chreptowiczów, Po-

tockich, Czartoryskich, Poniatowskich. Prace badawcze T. Lubomirskiego i A. Rembowskiego dostarczają nam szerokiego wglądu w te poczynania społeczne, których ukoronowaniem stała się Konstytucja 3 maja. Kanclerz rosyjski Bezborodko boi się « rozprzestrzenienia polskiej zarazy ». Dnia 25.XI.1794 r. wyraża obawę, że « wolność włościan może również rozdrażnić naszych wieśniaków ». Cesarz austriacki Leopold każe gubernatorowi Galicji zastanowić się nad tym, « co robić należy dla mieszczan i chłopów wobec reform dokonanych w Polsce ».

Uniwersał połaniecki, ostatni prawny akt niepodległego państwa polskiego, zapewniał ludności chłopskiej opiekę bezpośrednią rządu, nieusuwalność z uprawianego gruntu i wolność osobistą. Gdybyśmy nie byli utracili państwowej niepodległości, Polska byłaby pierwszym krajem w Europie, który rozwiązał u siebie sprawę chłopską. W okresie porozbiorowym usiłowania te przejmuje inicjatywa społeczna. Zabijają ją jednak rządy zaborcze, którym chodzi o przepaść między chłopem a szlachtą — w myśl zasady *divide et impera*. Obwieszający się medalami i puszący się tytułami tajnych radców profesorowie niemieccy i rosyjscy fabrykują gorliwie, usłużnie podręczniki do historii Polski. Wspomaga ich doktrynerska prasa warszawskich pozytywistów i dzieła naukowe historyków Szkoły Krakowskiej.

W ten sposób zaszczepił się w polskim społeczeństwie fatalny pogląd, który kładzie się cieniem na naszą tradycję narodową i spycha ją do roli zahukanego Kopciuszka europejskiego. Zarzekamy się go, wstydzimy się, zapominając aż o własnej godności.

V

Zobaczywszy na nielicznych tylko przykładach, jak wygląda sprawa dziedzicznego obciążenia t. zw. inteligencji polskiej — popatrzmy teraz, jak przedstawiała się w Polsce ostatnich czasów ta kastowość, to odgraniczanie się murem pogardy i uprzedzenia od reszty społeczeństwa. Czy i pod tym względem byliśmy gorsi od innych ?

Staralem się już uprzednio wykazać ów chaos pojęciowy, jaki zakradł się był do definicji polskiej inteligencji. Warunki socjalno-ekonomiczne XX wieku tak różniczkowały dawną stanowść społeczeństw europejskich, że nie sposób jest upierać się przy dawnych podziałach. Demokracja wymieszała ludzi, narzuciła im nowe schematy ustrojowe, które nie mają nic wspólnego z pochodzeniem człowieka jako podstawą jego przynależności społecznej. Dzisiaj decyduje o tym zawód, wyznanie polityczne, przynależność partyjna i t. d. Czynniki te krzyżują się wzajemnie, tworząc barwną mozaikę pojęciową. Jednostka dysponuje pełnią swobody wypowiedzenia się przy tej lub innej kategorii społecznej, może ją zmienić.

Kastowość obserwujemy, jednakże w zupełnie innym sensie. Przeszła

ona do życia prywatnego człowieka współczesnego i rządzi jego życiem towarzyskim. Ma ona tyle tylko wspólnego z normami społecznymi, że stanowi *sui generis* ich refleks, ich przedłużenie, zresztą nic niebezpiecznego dla nich samych. Urzędnicy jakiejś instytucji np. należą politycznie do różnych partyj, zawodowo łączy ich rodzaj zajęcia, towarzysko rozbici są na grupki, które spaja i dzieli tysiące drobnych szczegółów codziennych.

To samo widzimy w sferach ziemiańskich, kupieckich, rolniczych, robotniczych i t. d.

Trudno jest wymagać od sekretarza administracyjnego, aby czuł się dobrze jako stały bywalec w domu naczelnika urzędu, w którym pracuje. Obaj bowiem należą do innych sfer pod względem towarzyskim i kulturalnym. Ich wzajemne stosunki ograniczają się dlatego do złożenia sobie życzeń noworocznych, współuczestnictwa w jakimś bankiecie urzędowym, do kłaniania się przy spotkaniu. Zawodowo łączy ich praca i jej warunki. Z tego tytułu będą więc bronili np. praw emerytalnych, zasady automatycznego awansowania i t. p. Gdybyśmy ich jednak posadzili np. przy stoliku bridżowym, stworzy to już niewątpliwie kłopotliwą sytuację towarzyską, choćby nawet w czasie licytacji, która zależy od inteligencji, wycucia partnera, oraz innych nieuchwytnych czynników. Źródeł ich trzeba się nieraz doszukiwać w dalekich przyczynach, kształtujących psychikę człowieka. Dlatego też sekretarz administracyjny i jego naczelnik mają zazwyczaj swoje sfery towarzyskie, w których się obracają. Nie znaczy to, że tak musi być zawsze, naogół jednak zjawisko takie jest powszechne.

W każdym środowisku spotykamy to różniczkowanie się ludzi. Nie zależy ono ani od rasy, ani od stopnia ogólnej kultury. Snobizm, podobnie jak egoizm, jest człowiekowi wrodzony. Ma on w sobie pęd ku czemuś ciągle wyższemu. Dążność ta często wyradza się, staje się śmieszna, wypacza nawet stosunki społeczne. Nie znaczy to jednak, aby była ona objawem anormalnym. Można zwalczać, wyśmiewać jego nienaturalności, wykolejenia się. Dzisiaj jednak przyzwyczailiśmy się do traktowania takich zjawisk jako czegoś mniej lub więcej humorystycznego. Leczą z nich społeczeństwo komedje, skecze, kuplety. Snobistyczne te śmieszności nie zagrażają człowiekowi w jego warunkach do życia. Jeśli go krępują to tylko w życiu prywatnym.

Przypatrzmy się ewolucji, jaka pod tym względem dokonuje się we współczesnej Rosji. W okresie rewolucyjnych zmian społecznych w tym kraju przestrzegana była przesadnie równość wszystkich pod każdym względem. Rewolucja wydobyła na wierzch ludzi, którzy potrzebni jej byli do krwawych porachunków z dawnym układem stosunków socjalnych. Kiedy okres ten minął — ludzie ci także zniknęli w przeważnej części. Potrzebni byli chwilowo do walki na barykadach, do wytoczenia krwi z chorego organizmu społecznego. Potem bardzo prędko odeszli w niepamięć. Żyją najwyżej w postrach budzących anegdotach — tak, jak żyli w nich różni francuscy jakobini. Utrzymali się

zaś ludzie, którzy swoją przydatnością poczęli wnosić inicjatywę, potrzebną dla ułożenia się nowych stosunków.

Mało tego! Bardzo prędko nawrócono do segregowania ludzi, do dzielenia ich na różne kategorie, do stwarzania warunków życia, w których te różne kategorie ludzi mogłyby istnieć i rozwijać się. Wojna współczesna przyspieszyła w Rosji — tak jak kiedyś we Francji Napoleona — ten proces. Inaczej tam traktuje się dzisiaj inżyniera, naukowca, muzyka, oficera — a więc przedstawicieli znieprawionej przed 20 laty inteligencji.

Istota więc zjawiska nie zmieniła się. Inni są tylko ludzie, wspinający się po społecznej drabinie, inne siły, które ich wzywać pchają.

VI

Jeden z autorów zabawy w cenzurowane, atakując naszą szlachecką przeszłość i potępiając w trosce o jutro różne zjawiska naszych dziejów, ucieka się do argumentu nader wątpliwego, jakim jest sąd naszego emigranta, którego z ojczyzny wypędził głód.

Jest to argument tak nieprzemysłany, jak stwierdzenia różnych naszych niedociągnięć historycznych. Mógłbym tutaj znowu przytoczyć cały szereg momentów, które chyba przekonałyby surowego sędziego o przesadnym jego krytycyzmie, polegającym z jednej strony na zbyt oderwanych sądach o minionych sprawach, z drugiej zaś na błędnym wyobrażaniu sobie, że dzieje pewnego narodu zależą tylko od realizmu myślowego.

Wróćmy jednak do naszych emigrantów i ustalmy odrazu, że chodzi tutaj o ludzi, których los wygnał z ojczyzny nie tylko powodu głodu. Wygoniły ich także przekonania polityczne, chęć i widoki łatwiejszych zarobków, przedsiębiorczość i wiele innych przyczyn. Emigracja była dalej zjawiskiem nie tylko i wyłącznie polskim. Widzimy ją także w Niemczech, we Włoszech, w Chinach, w Japonii i innych krajach. Jeżeli nie było emigracji we Francji, Anglii, lub Belgii — to tylko dlatego, że kraje te dysponowały koloniami, które wchłaniały w siebie element ludzki różnego pokroju.

To jedna strona zagadnienia.

Porównajmy teraz polską emigrację we Francji i w Ameryce. Zobaczymy odrazu wiele różnic pomiędzy obiema. Nie chodzi mi w tej chwili o jakieś sądy wartościujące. Nie miałem nigdy dostatecznych kontaktów osobistych z przedstawicielami emigracji amerykańskiej. Wiem tylko, że zachowuje ona w przeważnej części swoją polskość, że interesuje ją ojczysty kraj, że część jej traci z biegiem długich lat poczucie pochodzenia, że w tej chwili dla nas tak przełomowej krzyczy ona głośno i upomina się uporczywie o Polskę.

Nasi emigranci francuscy dostarczyli polskiego żołnierza. Zetknęliśmy się z nimi już osobiście w stodółach, chlewach i kafejkach « gościnnej » Francji. Spotkaliśmy się w chwili, kiedy byliśmy świeżo po klęsce 1939 roku,

kiedy, abstrahując od własnego krytycyzmu pleniącego się na Węgrzech i w Rumunii w czasie beczynnego czekania na pociąg lub okręt, witały nas w alianckiej Francji zarzuty i utyskiwania, nie przynoszące zaszczytu zmysłowi politycznemu jej autochtonów. Echem tego nastawienia była część naszych emigrantów. Podkreślam — tylko część, którą niejednokrotnie łączyło z Polską tyle tylko, że ludzie ci na paszportach byli obywatelami polskimi. Większość natomiast inaczej odczuwała swoje pochodzenie. Pomimo, że wygnała ich z kraju nędza, łączyli się oni we Francji w różne polskie organizacje, utrzymywali kontakt z ojczyzną, pielgrzymowali do niej z tym dziwnym nabożeństwem tęskniącego człowieka, odsyłali swoje ciężko zapracowane oszczędności i śnili o złożeniu swych kości kiedyś na cmentarzu ojczystej wioski. Robili to wszystko mimo goryczy, mimo żalu. Zapominali o nim chętnie, kiedy im się długo opowiadało o tym, że Polska w ciągu krótkich dwudziestu lat niepodległości nie mogła odrobić całego zaniedbania przeszło wiekowej niewoli. Cieszyli się, kiedy słyszeli, że wiele zmieniło się na lepsze.

Wynika z powyższego znowu, że do opowiadań emigrantów należy podchodzić ostrożnie, że i tu sprawa nie przedstawia się tak prosto, aby można ją zamknąć w ogólnikowy sąd. Świadczy on bowiem o braku dyscypliny w myśleniu i krzywdzi ludzi, na których zdanie powołuje się w swojej nie dość wnikliwej argumentacji.

VII

T. zw. polski inteligent, czy pracownik umysłowy, nie gardził pracą fizyczną. Odnosił się do niej taksamo, jak mieszczuch w Szwajcarii, Francji, Włoszech, Anglii, czy Niemczech. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest ona tak samo potrzebna, jak jego rodzaj zajęcia.

Jeżeli istniały uprzedzenia we wzajemnych stosunkach wsi i miasta — to nie to było ich przyczyną. Jak już starałem się wykazać — nie można jej doszukiwać się w polskich tradycjach stanowych. Są one wynikiem tarć społecznych, których powodów należy szukać we współczesnym układzie stosunków. Jednym z nich były u nas — taksamo jak i za granicą — walki różnych partij politycznych, sięgające do arsenału pseudohistorycznych argumentów. Demagogia partyjna, wiecowa istniała zawsze i wszędzie. Obliczona na doraźny efekt nie może ona nigdy ostać się dłużej i nie stwarza trwałych wartości. Jest czymś w rodzaju naszych sensacyjnych czerwoniaków prasowych, które nie przebijając w poziomie i tematach swoich artykułów — szukają przede wszystkim najłatwiejszego, najbardziej popularnego podejścia do czytelnika, żerują na jego niezdrowych instynktach, byle uzbierać jaknajwięcej dziesięciogroszówek.

Innym powodem były nasze stosunki ekonomiczne, na których naprawę nie starczyło krótkich dwudziestu lat samodzielności państwowej. Godziły one w nas wszystkich bez wyjątku. Przeciętny inteligent nie miał się

stosunkowo lepiej niż przeciętny chłop. Przypomnijmy sobie uposażenia urzędników, nauczycieli, warunki finansowe w jakich musiał pracować aktor, redaktor, powieściopisarz, asystent uniwersytetu, profesor. Tu i ówdzie zdarzały się wprawdzie wyjątki, z nich jednak nie można wyciągać ogólnych wniosków. Nie byliśmy i tutaj odosobnionym zjawiskiem w rodzinie narodów, jeśli zechcemy wziąć pod uwagę warunki życiowe obywatela sowieckiego, czy nawet niemieckiego. Nie możemy powoływać się na przykład Francji, czy Anglii, które były starymi zagospodarowanymi państwami z olbrzymim zapleczem kolonij, z rozwijającą się ewolucyjnie tradycją życia państwowego. Nie możemy również wytaczać kontrargumentu, zaczerpniętego ze stosunków szwajcarskich, gdzie inne zupełnie momenty wchodziły i wchodziły w grę przy analizie warunków ekonomicznych.

W okresie trzech zaborów narastały przez długie lata w społeczeństwie polskim nawyki życiowe, nie mające nic wspólnego z psychiką naszego narodu, obce nam. Wiele z naszych przesądów społecznych przejęliśmy właśnie od zaborców. Nie bez śladu przeszła przez nasze życie postać rosyjskiego czynownika, pruskiego junkra i austriackiego hofrata. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jeżeli już mamy doszukiwać się szlacheckiego wynoszenia się t. zw. inteligencji ponad inne warstwy — to analiza tego zjawiska doprowadzi sumiennego badacza raczej do Wiednia, Petersburga i Berlina drugiej połowy XIX i pierwszych lat XX wieku.

Uczestnicy zabawy w cenzurowane zapomnieli, że prawdziwa inteligencja polska, przechowująca z pietyzmem dawną tradycję, walczyła twórczością powieściopisarską i poetycką o oświatę chłopca. Przeciętni jej przedstawiciele uczyli potajemnie dzieci wiejskie, opiekowali się wsią w życiu codziennym, organizowali pierwsze związki robotnicze. Zdarzali się wśród nich wprawdzie zbiegowie, dezterterzy, szukający zapomnienia na riwierach, albo powtarzający bezmyślnie komunały międzynarodowopartyjne na wiecach. Któryż jednak z narodów świata nie ma i takich między sobą?

VIII

Tak to więc bawimy się w cenzurowane na internowaniu. Zbieramy plotki i ploteczki na osobę, której identyczności nie postaraliśmy się uprzednio ustalić. Wynikł z tego powodu nieporządek w zabawie, zaczyna ona tracić swój cel i sens. Miast być dowcipną — staje się złośliwą. Z poziomu rzeczowego zastanawiania się nad naszą rzeczywistością zjeżdżamy po równi pochyłej ku dołom wiecowych argumentów. Tak jak istnieje wzór matematyczny, obliczający przyśpieszenie kuli toczącej się po takiej równi pochyłej i pozwalający rozbić je na wektory — taksamo i dalsza analiza krytycznego nastawienia i zarzutów doprowadziłaby do dalszych, nowych wniosków. Pozostańmy jednak przy początkowych założeniach.

Spółeczeństwo nasze, dzielące się na tych, co pozostali w kraju i na tych, którzy tułają się po wszystkich kątach świata, przeżywa ostry kryzys dziejowy. Chodzi nie tylko o hamletowskie *być, albo nie być*. Chodzi także o to : *jak być*. Karta Atlantycka, konferencje *Wielkiej Trójki* ukazują nam od czasu do czasu coraz to inne perspektywy tego problemu. Stwierdzić trzeba, że zwiężają one horyzont polski coraz to więcej. Jedni z nas zaczynają się buntować i protestują, odwołując się do sprawiedliwości świata. Drudzy potulnie schylają głowy, brzemienne w idee współpracy w nowym układzie sił politycznych. Maksymaliści i minimaliści. Tkwimy po same uszy w narodzinach nowej epoki.

Opatrzność, stary kapelmistrz, zaczyna uwerturę *da capo*...

Mimowoli narzuca się pytanie : czy nie lepiej jest w takich chwilach pamiętać o tradycji narodowej, o tej « arce przymierza między starymi a nowymi laty » ? Jeśli tak, to czy nie celowiej jest w uczciwym przemyśleniu zrobić z nią porachunek ?

Romantyzm polski, propagator tej « arki przymierza », to nie była reakcja braku moralnego wychowania jednostki, na którego podłożu « w chwili nieszczęść narodowych powstała mistyczna wiara w dziejowe posłannictwo Polski » — jak to definiuje jeden z internowanych autorów. Wiary tej nie zaszczepili nasi wieszczowie, bo istniała ona już na długo przed nimi. Mistycyzm nie był również wykwitem polskiej myśli. Poprzedził go np. choćby mistycyzm niemiecki. Są to dalsze nieścistości w ocenie naszej umysłowości.

Utwory wielkich romantyków polskich mogą być rozmaicie rozumiane i oceniane. Faktem jest, że wywarły one wielki wpływ na pokolenia naszych ojców. Pomogły im w roku 1830, 1863, 1905 i 1914. Nie rozdmuchiwały w nich nieuzasadnionej zarozumiałości, ale zaszczepiły silną wiarę w celowość tej walki, która z punktu widzenia współczesnej im rzeczywistości skazana była chwilowo na niepowodzenie.

I oni i my stanowimy nutki w olbrzymiej partyturze uwertury, dyrygowanej przez Opatrzność.

Chodzi tylko o jedno, aby nie odegrać żadnej z nich fałszywie i na niewłaściwym instrumencie. W naszym bilansie rewizjonistycznym bądźmy ostrożni w wydawaniu sądów, nie zapędzajmy się zbyt daleko, ponieważ ta droga psychozy internowania wiedzie do ubogiego warsztatu mistrza dratwy Kępy, patrzącego na świat przez zapajęczone, brudne okienko.

EUGENIUSZ LUKAS.

CZERWONE WSPOMNIENIE

Ciężka mgła wplata się w żalośnie ku niebu wyciągnięte ramiona drzew. Dywan z liści, które już nigdy do życia nie wrócą, otula ziemię przemokłą, jak otulają serce pozbawione ciepła wspomnienia tragicznie smutne, bezpowrotne. — Wiatr jak kiedyś, bardzo dawno, nuci monotonna zapomniana melodia. Niekiedy szloch głębszy, jak po długim płaczu, niekiedy dygot zziębniętych oślizgłych gałęzi wstrząśnie dreszczem martwoję gasnącego listopadowego dnia.

Pamiętam — zaróżowione wiatrem obłoki, podobne kłębkom postrzępionej waty, wlokły się gromadami po niebie, jakby z ociąganiem. Liście wszystkich odcieni brązu i czerwieni roztańczyły się nad drogami — rok dolatywał zdyszany na ostatnią prostą finiszu...

Wysoką centną przerzucił skrzydłowy piłkę do mnie, oddałem ją voley'em Zbyszkowi, który zgasił — i płaskim « szczurem » wypuścił na lukę Zadurowicza, — ten minął niezdecydowanych obrońców i ostrym strzałem skierował piłkę w róg — bramkarz wyciągnął się w rozpaczliwej robinzonadzie.

— Piłka po raz siódmy zatrzepotała w siatce... Posypały się nieliczne, nieśmiało oklaski, ktoś gwizdnął.

— Dziwne było to spotkanie z egzotycznymi, nimbem tajemniczości okrytymi « gośćmi », a sposób jego organizacji też zgoła niecodzienny. — Siedziałem w domu — jedyne miejsce, gdzie można było jaką taką atmosferą oddychać. Ani robić nic się nie chciało — ani tym bardziej myśleć. Roito mi się tylko coś po głowie bez ładu i sensu — wsluchiwałem się w ciszę, która gdzieś, pewnie z dyskretnie przyciśniętym palcem na ustach, skuliła się w firankach; w ostrzyżonych wierzbach widziałem zgromadzoną czeredę złośliwych karłów, zagładających bezczelnie nieforemnymi łbami w okno. Wrona huśtała się śmiesznie na ciężkiej gałęzi orzechu i zerwała się nagle z wrzaskiem — furta żelazna na prawym rogu domu zaskrzybiała rozdzierająco i zapadła podobnym dysonansem spowrotem. Ciężkie okute buty rozpoczęły marsz dookoła domu, podeszły pod okna, czapka, koloru piasku wduszonego w żółtą glinę garncarską, podskakiwała na linji framugi okien, powolna rytmowi kroków... — Tak, to ja — i krasnoarmiejec rozpoczął w popularnym ujęciu tłumaczyć, że sport to też pewnego rodzaju kultura, że u nich w Sojuszu stoi pod specjalną opieką i że w każdy szósty dzień skaczą, biegają, i on sam nawet... i czy mi wiadomo, że właśnie dziś

reprezentacja stacjonowanego szwadronu rezerwa mecz piłki nożnej z reprezentacją miasta i że jako « sportowy człowiek » już dawno powinienem być na stadionie, gdzie oni nam chcą coś pokazać, gdzie się można czegoś nauczyć... i że on właśnie ma mnie jako opornego pod bagnetem sprowadzić, ale rozumie nieświadomość i nie chce tego robić...

Mecz dobiegał końca. Nie mogłem zrozumieć rozpaczliwych znaków i białych plam przerażenia na twarzach miejscowych organizatorów — jakieś niepokojące nieporozumienie — przecież wygrywaliśmy i to niesłychanie wysoko...

... i goście mieli takie niezadowolone twarze i grali już « na kości » — niezawodny znak foul play nie umiejącego przegrywać zespołu...

Ten sam dzwonek, w ręku tego samego tercjana zadzwonił donośnie. Nie! Dziś nie dzwonił — dziś skowyczał wściekle i rozpacznie jak katowany pies, uwiązany na łańcuchu bez szans ucieczki.

Weszliśmy z Baśką i Januszem do klasy, w której powietrze było naładowane jak butelka lejdejska. Wchodziłem z ciężkim sercem, Baśka miała ceglaste wypieki i warkocz rozpleciony do połowy...

Ukraińcy siedzieli z prawej strony, ruchliwi i hałaśliwi. Żydzi niepewni jeszcze swego stanowiska w trzy dni dopiero trwającej « Zapadnej Ukrainie » siedzieli rozrzucony po rozmaitych ławkach z przesadnie uprzejmymi twarzami i zawodowym uśmiechem wyduszonym gdzieś z głębi wnętrza, skierowanym nieodmiennie w stronę Ukraińców...

— « Olga! dywyś » darł się ten parobek Semeniuk — « ot lachy wertajut z pochoronu Polaczy »... Coś mnie szarpnęło w jego stronę, Baśka uczepiła mi się kurczowo rękawa, Janusz ubiegł moją rękę sięgającą po kalamarz, na jego twarzy malowało się niezrozumienie — przyszedł z wojną do nas i nie znał ukraińskiego. — Wszyscy Polacy powstali z miejsc, Hanka zerwała się z ławki i z nieprzytomną twarzą biegła w stronę drzwi, wśród pewnego siebie, brutalnego śmiechu, nim jednak dopadła klamki, drzwi uchylily się i do klasy wszedł historyk Mazurkiewicz, ale jakiś dziwny ze skurczoną, skostniałą twarzą, przygarbiony, nieswój, nie ten ubóstwiany, najlepszy z ludzi, opiekun klasy, którego znaleźliśmy. Z nim weszło indywidualium o czerwonej błyszczącej twarzy pod czapą o zielonym dekle z czerwoną emaliowaną gwiazdą, z naganem wiszącym na rzemieniu nawskos rubaszki — towarzyszy-komisarz « od » zakładów średnich, jak się później okazało...

— Towarzysz komisarz przestał łuskać pestki z dyni. Zaczął mówić. I mówił, że przeprowadzimy głosowanie jaki język wykładowy ma obowiązywać i mimo, że ukraiński nim będzie, bo Ukraińców, widoczna większość, to jednak będziemy głosować, bo w « radziańskim sojuszu » wolność i równość i każdy ma prawo się wypowiedzieć, że zniosą łacinę, bo to język starożytnych faszystów — wrogów wolności, że założą bursy koedukacyjne — bo kobieta jest równo postawiona

z mężczyzną i że będziemy przyszłą « trudną inteligencją » « maguszczej » sowieckiej ojczyzny pozbawionej różnic narodowościowych...

... Mazurkiewicz stał cały czas, patrzył nieprzerwanie w okno — ręce mu drżały...

Później wywieźli go, jak i wielu innych, a druga licealna przestała istnieć jeśli chodzi o Polaków —

— jedni zagubili się gdzieś w bezdrożach gubernii semipalatyńskiej, czy stepach Kazakstanu,

inni utkwili na krócej lub dłużej w więzieniu za przedwojenną « działalność antysowiecką »,

inni znów padli na niedalekiej granicy jako przewodnicy...

Janusz i ja wyładowaliśmy w więzieniu i pod czułą opieką malowaliśmy transparenty dziękczynne wielkiej krasnej armji za « wyzwolenie z pod jarzma pańskiej Polski i pamieszczyków » uciskających nieszczęsny lud...

Po tygodniu « doszłusował » do nas jakiś stanisławowski sztubak, który siedział za « brak poczucia humoru » u « słowiańskich braci » — jak mówił. Ktoregoś rana bowiem okazało się oczom przerażonym, oczom do nieprzytomności wściekłym, i oczom w zadośćuczynieniu szczęśliwym, niesamowite zjawisko: oto w miejscu, gdzie wisiało kiedyś godło państwowe, krzyż, Prezydent i Marszałek — wisiało dwu dostojników sowieckich, między nimi wisiał krzyż, lecz prócz tego nad nim czarny napis: « Jezu Chryste jeszcze nigdy nie wisiał między takimi lotrami »...

— W nocy zapuszczono motor w samochodzie na podwórzu więziennym i z włączonym biegiem przepadł nasz sztubak na zawsze...

— Patrz! Stary przyjacielu Sobolewski — nie wiele się zmieniło, waszym kibitkom dodano tylko szybkości motorem amerykańskiego forda...

Snuly się dnie ciężarne naprężeniem. Ludzie przemykali się przez ulice w cieniu okapów, jak zaszczute zwierzęta. Widok wynurzającej się sylwetki milicjanta zmuszał do rzucenia się w pierwszą lepszą przecznicę, bo nigdy nie było wiadome, ani do przewidzenia, jak stróż nowego porządku ową przysłowiową już swobodę i wolność interpretować zechce...

— I drapiąca w oczy czerwień — uczucie opanowujące chyba drażnionego byka na arenie — uczucie w kompleks przechodzące —

— Gdy noc wchłonęła krwawą czerwień transparentów, opasek milicji, emaliowanych gwiazd armji, która krasną się zwała, czy wreszcie strzepów niegdyś polskich chorągwi dziś służących swoją oddartą czerwoną połową naszym mniejszościom kresowym do wyrażenia swych szczerych czy nieszczerych, jednak nakazanych oportunistem uczuć wschodniemu przybyszowi — oto gdy cierpliwa

noc to wszystko w siebie wchłonąć chciała, gdy mgła późnej jesieni ostatnie kontury domów żarłocznie połykała, gdy ciemność — tę błogosławioną ślepotę oczu — chciało się z westchnieniem ulgi powitać, na niewidocznym, wysoko gdzieś ginącym szczycie wieży ratuszowej, zapalała się olbrzymia, jaskrawa, pięcio-ramienna gwiazda i wisiała nad nami — wszystko widząca, jak czujne oko stróża więziennego...

Noc Wigilijna — noc miłości i pojednania... Noc przeżyta w ciszy, ale ciszy cmentarzyskom i miejscom kaźni właściwej... Narodziny Boga zwiastowane stojącą nieruchomo na niebie, krwawą, pięcioramienną gwiazdą... Gwiazdą, która nie monarchom, lecz zesłańcom towarzyszy...

Szedłem drogą wybitą w nieckę przez czołgi i niosłem świeżo podkute buty. Wchłaniałem w siebie każdy szczegół, patrzyłem, jak patrzy się na niknący pociąg z ukochaną dziewczyną, która nigdy już nie ma wrócić. Jakaś zwierzęca żalność uchwyciła się gardła — całe dziedzictwo, cała pierwsza młodość zostanie tu... Sklepy patrzyły pustymi oczodolami wystaw...

Długo tuliłem twarz w drżące ręce matki — ojciec stał niemy, nieruchomy i patrzył gdzieś, nie widząc...

... Odarta z liści gałąź tłukła uparcie swymi kikutami w okiennicę, niby zniecierpliwiony towarzysz dający znak, że już czas...

MIECZYŚLAW ZAWADOWSKI.

APOSTATA MARKSIZMU

Gorąca polemika z socjalizmem marksowskiej obserwacji, wszczęta pół wieku temu przez Sombarta i toczona odtąd nieprzerwanie przez licznych rzeczników obozu kapitalistycznego nie przyniosła oczekiwanej rewizji założeń autora « Kapitału ». Conajwyżej skłoniła teoretyków socjalizmu do poczynienia nieznacznych poprawek, nie naruszających w istocie wspaniałego gmachu doktryny marksowskiej. Socjalizm europejski na przełomie XIX w. i właściwie aż do czasów kryzysu z 1929 r., pomimo krytyki reformistycznej Bernsteina, trzymał się nadal oficjalnie nauki Marksa, odkładając jeno ze względów taktyki politycznej spełnienie jej rewolucyjnych postulatów na bliżej nieokreśloną przyszłość. W rzeczywistości zaś codziennej wraz z podnoszeniem się dobrobytu warstw robotniczych, partie socjalistyczne z Niemiecką Socjalną Demokracją na czele stosowały politykę kompromisu i harmonijnego współżycia z kapitalizmem, który zresztą miał wedle przyjętego poglądu, zmierzać nieuchronnie do pełnego kolektywizmu. Ten reformizm, czy — jak go zwali zwolennicy rewolucyjnego skrzydła socjalizmu — oportunizm znajdował nader serdeczne sympatie w postępowych kołach kapitalistycznych, szermujących słowem i popierających czynnie demokratyczne reformy społeczne w dziedzinie polityki robotniczej, ubezpieczeń społecznych, oświaty dla wszystkich i udziału w rządach przedstawicieli robotników.

Niebawem jednak zaszły wydarzenia, które miały położyć kres tej sielance. Potężne wstrząsy polityczne i społeczne, jakie nawiedziły Europę w drugiej dekadzie naszego wieku, a mianowicie wojna światowa z jej napoły kolektywistyczną gospodarką, rewolucja komunistyczna w Rosji i faszystowska we Włoszech, a głównie może ostry kryzys gospodarczy lat 1929-1933, i opanowanie władzy w Niemczech przez hitleryzm, oznajmiły światu nadejście nowej epoki. Wzruszone zostały w swych podstawach instytucje państwowe i społeczne, wyrosłe na podłożu doktryn liberalnych, obalone zostały zarówno pewniki tradycyjnej ekonomii klasycznej jak i ortodoksyjnego marksizmu. Partie socjalistyczne jak i stronnictwa burżuazyjne stanęły bezradne w obliczu głównego zagadnienia gospodarczego i społecznego t. j. masowego bezrobocia. Stąd po obu stronach bariery socjalnej zrodziły się dążenia do gruntownej rewizji bagażu intelektualnego, odziedziczonego w spadku po XIX w., do stanowczego zerwania z nałogami myślowymi, utrudniającymi zrozumienie, a tym samym i kształtowanie nowej rzeczywistości. Na lewicy społecznej, najpierw w środowisku syndykatów robotniczych a później w

szeregach partii coraz donośniejszy oddźwięk znajdowały głosy, domagające się radykalnej zmiany taktyki nieprzystosowanej całkowicie do powojennych warunków, tudzież odnowienia samej doktryny, której rażących defektów nie sposób było dłużej ukrywać.

Żarliwym protagonistą nowej taktyki, a jeszcze w większym stopniu twórcą nowej, heretyckiej doktryny socjalizmu stał się wybitny socjalista belgijski, działacz i teoretyk, Henryk de Man. W licznych książkach i broszurach, wyszłych z pod jego pióra w latach trzydziestych, podważył on całe rusztowanie filozoficzne marksizmu, uderzając głównie w jego determinizm i materializm socjologiczny. Man nie poprzestał na negacji, na odbronowaniu starego bożyszcza; w « Idei socjalizmu », wydanej w 1935 r., próbuje położyć fundament pod nową, spirytualistyczną koncepcję socjalizmu. Plon pracy myślowej de Mana jest tak obfity i oryginalny, iż zasługuje na uwagę każdego, kto interesuje się cokolwiek sprawami społecznymi.

Dla zrozumienia pozytywnej strony koncepcji socjalizmu u de Mana, jest rzeczą konieczną wyjść z jego krytyki marksizmu, by zdać sobie sprawę jak bardzo jest ona odmienna, nowa i oryginalna w stosunku do panującej doktryny. Ostrze analizy krytycznej nauki Marksa skierowuje de Man na marksowską koncepcję zjawisk społecznych. Na pierwszy ogień idzie teoria determinizmu socjologicznego. W ujęciu Marksa teoria ta otrzymała takie sformułowanie: « W produkcji społecznej ludzie wchodzą w określone stosunki konieczne i niezależne od ich woli; te stosunki produkcyjne odpowiadają określonemu stanowi potęgi materialnej produkcji. Ogół tych stosunków produkcji tworzy budowę ekonomiczną społeczeństwa — rzeczywistą podstawę, na której wznoszą się nadbudowa prawna i polityczna i której odpowiednikiem są określone formy świadomości społecznej. Sposób produkcji materialnej określa ogólny charakter procesów społecznych, politycznych i duchowych w życiu. Świadomość ludzi nie określa ich bytu, lecz przeciwnie ich byt społeczny określa ich świadomość... Ze zmianą podstaw ekonomicznych zmienia się mniej lub więcej szybko cała bezmierna nadbudowa ¹. »

Istotę teorii stanowią zatem trzy twierdzenia: 1) że podstawą społeczeństwa są zjawiska ekonomiczne; 2) że przyczyny ekonomiczne determinują w sposób jednostronny wszystkie inne procesy społeczne: polityczne, religijne, etyczne, w których przejawia się świadomość zbiorowa; 3) że świadomość ludzka, czyli procesy duchowe są jedynie odbiciem warunków życiowych i ze swej strony nie mają wpływu na kształtowanie się bytu. De Man pomija polemikę z pierwszą tezą, kładąc główny nacisk na fałszywość dwóch następnych. Twierdzenie że zjawiska ekonomiczne, to znaczy warunki materialne określają w sposób wyłączny życie człowieka jest absolutnie błędne.

¹ K. MARKS: *Krytyka ekonomii politycznej*, cyt. wg. SOROKINA: *Théories sociologiques contemporaines*, str. 385.

W rzeczywistości życie człowieka przedstawia podwójny aspekt : jednocześnie procesu materialnego i duchowego ; byłoby rzeczą daremną ustalać, który z tych procesów jest zasadniczy, a który pochodny. Zjawiska materialne i duchowe nie mają się do siebie tak jak przyczyna do skutku, lecz warunkują się i wpływają wzajemnie jedne na drugie. Współczesna teoria poznania zjawisk społecznych porzuciła oddawna koncepcję stosunku przyczynowego, jednostronnego w dziedzinie faktów społecznych. Obecnie przyjęta jest raczej hipoteza stosunku funkcjonalnego, wzajemnej zawisłości i oddziaływania procesów socjalnych. Równie mylna i jednostronna jest afirmacja przemożnego i wyłącznego wpływu warunków zewnętrznych na świadomość człowieka, hipoteza znana pod nazwą « teorii środowiska ». Albowiem człowiek nie tylko ulega wpływowi otoczenia (u Marksa warunkom materialnym egzystencji) nie tylko przyjmuje liczne wrażenia ze świata zewnętrznego, lecz w równej mierze sam wpływa na swe środowisko naturalne i społeczne, kształtując je według swej woli i wyobraźni.

Jeśli ze stanowiska ściśle naukowego determinizm socjologiczny jest nie do przyjęcia, to tym mniej jest on przydatny dla uzasadnienia socjalizmu jako ruchu społecznego o charakterze etycznym. Raz dlatego, że koncepcja determinizmu ujmuje jedynie te zjawiska społeczne, które są dostępne dla obserwacji naukowej, wolnej od wszelkich sądów wartościujących, powtórę związek przyczynowy między warunkami materialnymi życia a postawą psychiczną ma ważność tylko w odniesieniu do zjawisk ogólnych, przeciętnych, natomiast nie tłumaczy procesów psychicznych, dziejących się w duszy pojedynczego człowieka, które są rozstrzygające dla jednostki przy powzięciu decyzji : za, czy przeciw socjalizmowi. Ponadto interpretacja przyczynowa procesu historycznego ma tę wadę, że może wprawdzie wyjaśnić, lecz nie jest w stanie stworzyć kryterjum oceny moralnej tegoż procesu.

Skoło przyjmujemy za pewnik twierdzenie Marksa, że walka klasowa między burżuazją a proletariatem jest nieuchronną koniecznością sprzeczności interesów, ujawniającej się w produkcji kapitalistycznej, to zmuszeni jesteśmy postawić na tej samej płaszczyźnie wyzysk kapitalisty i ucisk robotnika. Obaj działają w myśl tego samego prawidła historycznej konieczności. A więc nie ma racji, by przyznawać większą wartość stanowisku jednego lub drugiego, jeśli ich postępowanie jest w równej mierze słuszne, jak i niesłuszne. Wykluczenie kryterium moralnego nie pozwala ni protestować przeciw « wyzyskowi » kapitalisty, ni ujmować się za « uciśnionym » robotnikiem.

Wszelako nie tutaj leży główny fałsz myśli marksowskiej. Jej grzechem pierworodnym jest błędna metoda, która z doktryny przyczyn, chce zrobić doktrynę celów ; z analizy tego co jest, pragnie wyprowadzić to co powinno być ; z poznania środowiska kapitalistycznego chce wydedukować ideę socjalizmu przyszłości. Otóż to jest niemożliwe. Socjalizm pyta nie tylko o przyczyny, lecz nade wszystko stawia określone cele działalności ludzkiej. Żąda

pewnych decyzji moralnych, które swój początek biorą z pojęć apriorycznych, uniwersalnych i wyższych od jakiegokolwiek procesu historycznego. W imię tych wyższych wartości natury przede wszystkim moralnej i prawnej występuje socjalizm z żądaniem zmiany rzeczywistości społecznej, przetworzenia jej według własnej koncepcji porządku społecznego.

Fałszywe założenia musiały doprowadzić do wysnucia mylnych wniosków. To też przewidywania dotyczące kierunków rozwojowych kapitalizmu, które Marks przedstawił z tak niezwykłą siłą argumentacji nie sprawdziły się. Trafna w ogólnych zarysach teoria o koncentracji przemysłu nie usprawiedliwia twierdzenia, że nieuniknionym skutkiem koncentracji kapitału będzie powszechna pauperyzacja i proletaryzacja społeczeństwa kapitalistycznego. Ewolucja kapitalizmu w drugiej połowie XIX i w pierwszej ćwierci XX stulecia nie spowodowała przewidywanego obniżenia płac roboczych, ani nieprzerwanego wzrostu liczbowego robotników fabrycznych, ni wzmagającej się unifikacji ich interesów klasowych. Skończyła się już ta faza rozwoju przemysłu społeczeństw europejskich, kiedy maszyna wypierała rzemieślnika, zastępując go najemnym robotnikiem. W obecnym czasie rozwój techniki przemysłowej prowadzi raczej do eliminacji robotnika na rzecz maszyny-automatu. Liczba robotników wykazuje tendencje malejące, natomiast wzrasta stosunkowo ilość urzędników i pracowników umysłowych w biurach fabrycznych, oraz stałych bezrobotnych. W łonie warstwy robotników najemnych nastąpiło silne zróżniczkowanie. Obok kategorii robotników niewykwalifikowanych, obsługujących maszyny zjawia się nowa warstwa pracowników wysoko kwalifikowanych : mechaników, konstruktorów, monterów i kontrolerów maszyn, którzy z uwagi na swe wykształcenie, warunki życia i płacy nie poczuwają się do wspólnoty losów z rzeszami robotników-proletariuszy. Zupełnie odmienna jest też pozycja bezrobotnego ; nie tylko, że nie widzi on żadnej potrzeby solidaryzowania się z robotnikiem zatrudnionym, lecz nawet jest mu pod wielu względami wrogi. Jest więc rzeczą oczywistą, że w zmienionych warunkach ekonomicznych XX wieku nie podobna opierać programu rewolucji socjalistycznej na wspólnej woli i świadomości rewolucyjnej warstw robotniczych, ponieważ tej wspólnoty w rzeczywistości nie ma.

Ponieważ « socjalizm naukowy » Marksa jest tak samo naukowo nieuzasadniony, jak wiele innych teorii XIX-wiecznych, zarzuconych oddawna przez wiedzę współczesną, a ponadto stracił już w masach swą magiczną niemal siłę jako program walki proletariatu, przeto jest najwyższy czas, by postawić nową ideę socjalizmu opartego na spirytualistycznych ze swej istoty przesłankach sprawiedliwości i moralności. Oto punkt wyjścia H. de Mana.

W jego rozumieniu socjalizm oznacza w pierwszym rzędzie dążenia do sprawiedliwego porządku społecznego. Żądania socjalizmu są obiektywnie słuszne, albowiem jego krytyka istniejących stosunków opiera się na ogólnie

obowiązujących kryteriach moralności i prawa. Głównym zadaniem i sensem socjalizmu jest dokonanie takich zmian istniejących urządzeń społecznych, ażeby w ich ramach wszyscy mogli osiągnąć autonomię osobistą t. j. rzeczywistą możliwość uczestniczenia na równych prawach w kształtowaniu losów zbiorowych. Autonomia osobista oznacza dalej zniesienie wszelkich form wykorzystywania człowieka, jako narzędzia do osiągnięcia osobistych celów innych osób, oraz uczynienie władzy organem świadomej i wolnej woli wszystkich członków ciała zbiorowego. W szczególności robotnik ma mieć zawarowane prawo do wartości wytworzonej jego pracą, ochronę ustawową tegoż prawa przeciw wszelkim zamachom innych ludzi, którzy powołując się na prawo własności, chcieliby używać owoców jego pracy do utrwalenia swego panowania nad masami robotniczymi.

Poważną przeszkodą w urzeczywistnieniu szerokiej autonomii społecznej, politycznej i ekonomicznej stanowi istnienie hierarchii klas. Dlatego walka klasy robotniczej przeciwko wyzyskowi i przewadze politycznej klas wyższych, podtrzymujących hierarchię, nabiera wyższego sensu walki o idee ogólnoludzkie sprawiedliwości i wolności człowieka. Socjalizm apeluje do pobudek głębszych niż interes grupowy klasy robotniczej, bo do sumienia człowieka.

Idea socjalizmu jako ustroju przyszłości nie może być produktem ewolucji kapitalizmu, przeciwnie powstaje jako protest ludzi żywych przeciwko istniejącym instytucjom kapitalistycznym. Nie zjawia się on z zewnątrz, jako automatyczny rezultat mechaniki sił ekonomicznych, jeno jest procesem psychologicznym, dziejącym się naprawdę w duszach ludzkich. Jest wyrazem przeżyć ludzi, których aspiracje oceniane według powszechnie przyjętych norm etycznych i prawnych za słuszne nie znajdują satysfakcji w istniejących stosunkach społecznych. Ze starcia między aspiracjami ludzi, a przeczącymi im urządzeniami społecznymi rodzi się napięcie woli stworzenia nowego stanu rzeczy. Ten nowy stan rzeczy, przeniknięty ideą sprawiedliwości, realizujący braterstwo ludzi, w którym działalność i własność wspólna stoi na usługach zbiorowości, to właśnie porządek socjalistyczny. Formy i granice uspołecznienia własności mogą być rozmaite. Istotnym jest cel tych ograniczeń zakresu działania indywidualnego — dobro powszechne, interes wspólnoty. Socjalizm ze swej istoty jest ruchem dynamicznym, nieustannie dziejącym się procesem psychicznym, który nie dokonywa się gdzieś poza czasem i przestrzenią, jeno pozostaje w ścisłej łączności z ewolucją idei i instytucji ludzkich. Popularne wyobrażenia o społeczeństwie i porządku socjalistycznym, jako o pewnym idealnym stanie rzeczy, który raz osiągnięty nie przechodzi żadnych przemian, który będzie czymś statycznym i uniwersalnym, jest jedną z licznych legend, jakie niejednokrotnie egzaltowały wyobraźnię ludzką.

Takie ujęcie problemu socjalizmu stawia na innej płaszczyźnie sprawę kultury socjalistycznej. Przystaje ona być nadbudową ideologiczną struktury

ekonomicznej, produktem ubocznym, wytworzonym automatycznie przez nadejście socjalizmu. Kultura socjalistyczna, jeśli ma się kiedykolwiek rozwinąć, musi być przejawem czynnej woli kształtowania życia zbiorowego i jednostkowego według wiary w określoną hierarchię wartości. Ta wiara w uniwersalne wartości, nadająca prawdziwy sens życiu ludzkiemu, znajdująca swój wyraz w poglądach i naczelnych ideach życiowych, przejawiająca się w stylu życia i w stosunku do ludzi i otoczenia naturalnego stanowi o obliczu kultury.

Jakież są ideały kultury socjalistycznej i jaki jej stosunek do kultury obecnej epoki? Kultura socjalistyczna musi być zaprzeczeniem kultury kapitalistycznej, wyrosłej z rozdziału własności od pracy, z ujarznienia rzesz pracowniczych przez posiadaczy kapitału. W społeczeństwie socjalistycznym motyw zysku osobistego, główna sprężyna działalności ludzkiej w ustroju kapitalistycznym, ma ustąpić miejsca interesowi społeczności, praca fizyczna odzyska należny jej walor, a człowiek pracy uznanie swej godności osobistej. De Man nieprzejednanie wrogi wobec współczesnego kapitalizmu, zmienia całkowicie ton, gdy mówi o prekapitalistycznej kulturze mieszczańskiej średniowiecza. W imię historycznej prawdy de Man rozprawia się stanowczo z rozpowszechnionymi wśród socjalistów pogardliwymi sądami o dorobku kulturalnym katolicyzmu średniowiecznego. W kulturze mieszczańskiej odkrywa on nieprzemijające wartości ogólnoludzkie. « Jeśli istota kultury polega na uszlachetnieniu przy pomocy więzów nałożonych przez sumienie naturalnych skłonności w człowieku i skierowanie ich do wyższych celów duchowych, to XIV wiek przedstawia szczyt rozwoju kultury ² » pisze w jednym z rozdziałów swej « Idei socjalizmu ». Miasta zachodnie wytworzyły na kilka wieków przed włoskim odrodzeniem typ kultury nawskroś humanistycznej. Po raz pierwszy w dziejach Zachodu kultura miast średniowiecznych wyzwoliła człowieka z pęt zależności przyrodniczej od ziemi i więzów poddaństwa prawnego od feudalnego pana.

Dopiero kultura kapitalistyczna, wypierając pojęcia i instytucje średniowieczne sprzeniewierzyła się ideałom wolnościowym i demokratycznym średniowiecznej burżuazji. Socjalizm, potępiając nadużycia kapitalizmu, wcale nie chce niszczyć wielkich i trwałych wartości kultury europejskiej. Czuje on się prawym dziedzicem bogatej spuścizny kultury chrześcijańskiej, pragnąc ją nie tylko przechowywać, lecz ożywić i wzbogacić własnym dorobkiem

Najpiękniejsze bodaj karty swej ostatniej książki o idei socjalistycznej poświęca autor analizie idei religijnych, artystycznych i społecznych katolickiego średniowiecza. Charakteryzując koncepcje religijne, zauważa de Man : « W chrystjaniźmie wielką ideą rewolucyjną, zdolną przewyciężyć magiczny lęk przed światem była od początku wiara w możliwość osobistej

² DE MAN : *Idée socialiste*, str. 177.

łączności z Bogiem. Dusza jest darem bożym, jest ona dana osobie. Ta podstawowa koncepcja uczyniła z chrześcijaństwa zachodniego — w przeciwieństwie do magicznych religij azjatyckich — religię osobowości. Poddając osobę prawu moralnemu, którego spełnienie oznacza odkupienie całej ludzkości, zbawienie wszystkich, a nie tylko szczęście jednostki, postawiła przed rozumem ludzkim nowy, wyższy problem. Znajomość samego siebie, pierwsze przykazanie moralności ateńskiej i miłość powszechna, pierwsze przykazanie moralności niewolników wczesnego chrześcijaństwa, stapiają się w jedną moralność ludzką, której cel jest powszechny, a środki osobiste³. »

Szczyt filozofii scholastycznej « *Summa* » Akwinaty zasługuje w całej pełni na miano systemu, wobec którego próby systematycznego tłumaczenia świata, podejmowane przez późniejszych mistrzów myśli świeckiej : Spinozę, Kartezjusza, Leibniza i Hegla okazują się tylko fragmentami⁴. Nie mniej pełną i głęboko ludzką jest sztuka średniowieczna. « W architekturze kościelnej surowy masyw katedr romańskich ustępuje miejsca strzelistym wieżom, wspornikom i łukom gotyckim, dużym oknom o kolorowych witrażach i bogato rzeźbionym portalom. Symbolizuje ona wysiłek ku swobodnym lotom, pięcie się do światła, oznajmia usunięcie zapór, które wzbraniały rzeczywistym uczuciom natury i społeczeństwa dokonać jedności z wyższymi wartościami świata boskiego. Artysta średniowieczny daje swymi dziełami świadectwo wierzeniom, wyrażonym w fundamentalnej doktrynie tomistycznej, wedle której wszystko co naturalne, ludzkie i rozumne, tworzy część bożego porządku wszechświata⁵. » W średniowiecznych miastach rozwinęła się i zakwitła najpyszniej pierwsza, najbardziej harmonijna kultura humanistyczna, kultura osobowości ludzkiej.

De Man wyróżnia się spośród plejady współczesnych socjalistów śmiałym, otwarciem krytycznym stosunkiem do panującej ideologii materialistycznego socjalizmu. Bez obsłonek i żenady demonstruje de Man przestarzałość doktryny, jej fałszywą postawę wyjściową i wreszcie jej nieudolność do wytworzenia silnej podniety duchowej dla ruchu politycznego mas. Zarówno ortodoksyjny, jak i reformistyczny marksizm stają bezradne wobec nowych problemów socjalnych i ekonomicznych, na które nie znajdują recepty u Marksa. Na nic tu nie pomogą półśrodki, hasła powolnej ewolucji zalecane przez reformistyczną politykę socjalną. Nowe zagadnienia domagają się nowych metod, nowego, niekonformistycznego programu działania.

Ustrój kapitalistyczny wszedł w okres rozkładu, przejawiającego się : w przewadze kapitału finansowego nad przemysłowym, monopoli nad wolną konkurencją, w upadku wymiany międzynarodowej i w chronicznym, masowym bezrobociu. Nadszedł czas, by ruch robotniczy porzucił dotychczasową swą bierność. Trzeba przystąpić do polityki czynu i woli, ażeby bez

³ DE MAN, *op. cit.*, str. 108.

⁴ DE MAN, *op. cit.*, str. 120.

⁵ DE MAN, *op. cit.*, str. 110-111.

zwłoki rozpocząć walkę z główną chorobą ekonomiczną — masowym bezrobociem.

W roku 1933, tuż po przewrocie hitlerowskim de Man wraca z Niemiec do Belgii, gdzie rozpoczyna natychmiast żywą działalność na terenie związków zawodowych i w belgijskiej partii robotniczej. Katastrofalne bezrobocie i wzrastające niebezpieczeństwo rewolty komunistycznej skłaniają go do wszczęcia energicznej kampanii za podjęciem szybkiej i głębokiej reformy ustroju ekonomicznego w kierunku gospodarki planowej. De Man opracowuje główne wytyczne polityki ekonomicznej na najbliższych parę lat, przedkłada je kongresowi P. O. B. (Belgijskiej Partii Robotniczej), który przyjmuje plan wśród powszechnego entuzjazmu, w grudniu 1933 roku.

Zasady tego planu — zwanego « Planem Pracy » — są następujące :

1. Przebudowa ekonomiczna kraju w drodze ustanowienia gospodarki mieszanej złożonej z dwóch sektorów ; znacjonalizowanego, który ma objąć organizację kredytu i główne przemysły, stanowiące monopol nielicznych grup kapitalistycznych, oraz prywatnego obejmującego drobne i średnie przedsiębiorstwa przemysłowe i rolnicze ;

2. Poddanie owej przeorganizowanej gospodarki narodowej dyrektywom władz centralnych, których głównym zadaniem będzie rozszerzenie rynku wewnętrznego dla wchłonięcia bezrobocia i podniesienia dobrobytu ;

3. Dokonanie przebudowy ustroju politycznego dla osiągnięcia pełnej demokracji ekonomicznej i społecznej.

Proponowana reforma zmierza nie do zniesienia wogóle własności prywatnej narzędzi i środków produkcji, jeno do przeniesienia dyspozycji gospodarczej z rąk przedsiębiorcy prywatnego w ręce władz publicznych. Tam, gdzie jest to jeszcze możliwe i zdrowe — podkreśla de Man — należy utrzymać przedsiębiorczość prywatną, a nawet przyjąć jej z pomocą. Dotyczy to w szczególności drobnych i średnich przedsiębiorstw, niezmonopolizowanych, bądź w których nie ma rozdziału kapitału od pracy, jak np. w rzemiośle, rolnictwie i przemysłach konsumpcyjnych. Za ochroną własności prywatnej w tej dziedzinie przemawiają nie tylko względy taktyczne, (pozyskanie dla programu socjalistycznego drobnomieszczaństwa i włościan) lecz przede wszystkim demokratyczny duch socjalizmu europejskiego, dla którego demokracja oznacza różnorodność form gospodarowania i kontynuację tradycji chrześcijańskiej, zwróconej ku wolności i prawom osobowości ludzkiej.

Przebudowany w duchu socjalistycznym ustrój ekonomiczny ma służyć zbiorowości, ma dać każdemu prawo do godziwego utrzymania z własnej pracy, przynieść zmniejszenie godzin pracy w stosunku do jej wydajności produkcyjnej, oraz przywrócić pracy należny jej szacunek, pozabawiając ją poniżającego piętna towaru.

Dominującym tonem koncepcji de Mana jest szczerzy humanizm, jego ludzkie, pełne współczucia dla krzywdy i nędzy, podejście do spraw spo-

łecznych. Ten szlachteny motyw etyczny nakazał mu już we wczesnej młodości zerwać ze środowiskiem mieszczańskim, w którym wyrósł i oddać się bez reszty sprawie wydzwignięcia z niedoli i opresji rzesz robotniczych. Jednakże de Man nie ma ślepej wiary niektórych fanatyków socjalizmu w proletariat, jako klasę wybraną, jako nowego Mesjasza naszego czasu, ni w zbawczą rolę dyktatury proletariatu. Mitem jego zdaniem są wierzenia, że socjalizm spełni w przyszłości odwieczne tęsknoty i pragnienia ludzkości powszechnego szczęścia i równości. Owa mistyczna wiara, to bodaj główna tajemnica niebywałego powodzenia utopii socjalistycznych w masach ludowych. Z drugiej strony odrzuca także fatalistyczne — by nie rzec demoniczne — pojmowanie socjalizmu, wedle którego ślepe i niezbadane siły ekonomiczne, poruszające się własną nieubłaganą dynamiką, niezależnie od ludzkiej woli i świadomości, przygotowują automatycznie i nieuchronnie nadejście porządku socjalistycznego.

Wobec problemu socjalizmu, de Man zajmuje krańcowo odmienne stanowisko. Przyswoiwszy sobie wyniki współczesnej psycho-analizy i psychologii społecznej, de Man traktuje socjalizm jako prąd *par excellence* psychiczny, jako dążenie duszy ludzkiej, obdarzonej zdolnością wartościowania, do sprawiedliwego ładu społecznego. Socjalizm, to najpierw rzecz sumienia i woli ludzi żywych, a potem okoliczności zewnętrznych, materialnych. Socjalizm jest ideą, t. zn. energią psychiczną, która jest zdolna kształtować dzieje, dokonać historycznych przemian. Obecne warunki ekonomiczne stwarzają tło do realizacji socjalizmu; nędza mas bezrobotnych przy współczesnych możliwościach technicznych, jest paradoksem, którego nie podobna dłużej tolerować. Socjalizm powinien, może, a zatem musi być zrealizowany przez obecne pokolenie. Wystarczy zmienić atmosferę ruchu, by przeprowadzić żądane zmiany struktury ekonomicznej i politycznej.

Innym rysem cechującym postawę de Mana jest cześć dla wolnej osoby człowieka, swego rodzaju liberalizm personalistyczny. Jego duszy nie ogarniają pasje nienawiści, ni żądza zemsty zbiorowej za doznane upokorzenia. Dramat społeczny nie przysłania mu dramatu życia człowieka. Masa nie odsuwa na bok prawdziwej troski o osobę człowieka, o jego godność i rozwój duchowy. Wie on, że bez rozwoju osobowości ludzkiej nie ma prawdziwego postępu społeczeństwa. I w imię tego postępu, tym energiczniej zgłasza rewindykacje socjalne. Idzie o to, by umożliwić warstwom robotniczym życie godne człowieka, żeby udostępnić im korzystanie i czynny udział w dorobku kulturalnym ludzkości. Przebudowa instytucji społecznych, zdobycie władzy politycznej przez proletariat nie rozwiązuje sprawy socjalizmu. Socjalizm ma zadania wychowawcze, winien przynieść modyfikację konwencjonalnej hierarchii wartości, wyrobić nowe cnoty w jednostce ludzkiej.

Wyjątkową, jak na prawowiernego niegdyś ucznia Marksa, szerokość poglądów i samodzielność myślową wykazuje de Man w stosunku do kwestii

religii i wiary. W jego przekonaniu tradycyjny indyferentyzm religijny socjalistów europejskich powinien być odrzucony, bo przecież jednym ze źródeł kultury ludzkiej są sentymenty religijne. Socjalizm — ruch przede wszystkim etyczny — winien czerpać swe siły z wierzeń religijnych ludzkości.

W dodatku wrogi stosunek partii do religii, a w szczególności do katolicyzmu, osłabia zwarty front mas proletariatu, którym przekonania religijne nie pozwalają przyłączyć się bez zastrzeżeń do ruchu socjalistycznego.

Przy całej słuszności zasadniczej idei socjalizmu, jako zagadnienia *par excellence* moralnego, niektóre tezy de Mana nasuwają pewne uwagi krytyczne. Główny zarzut jaki można postawić de Manowi, jest ten, że potraktował on problem zbyt abstrakcyjnie i dlatego nie uniknął dość wyraźnych kontradycji. Rozważyć wystarczy na przykład problem wolności i autorytetu, jednostki i społeczeństwa w zarysowanej koncepcji socjalizmu. Afirmując gorąco prawa człowieka do autonomii osobistej, wolności, swobodnego kierowania swoimi losami, stawia jednocześnie de Man postulat gospodarki planowej, której nieuniknionym następstwem jest właśnie ograniczenie, niekiedy nader istotne wolności działań człowieka na rzecz interesu zbiorowego.

Można przy tej okazji podnieść wogóle wątpliwość, czy uda się kiedykolwiek zrealizować ustrój społeczny i polityczny, któryby zapewniał szerokie wolności obywatelskie i osobiste, kolektywizując jednocześnie sferę gospodarczej działalności ludzi. Doświadczenia bardzo świeżej doby, udowadniają naocznie, że ograniczenia w jednej dziedzinie życia społecznego pociągają konieczność reglamentacji dziedzin pozostałych, ponieważ organizm społeczny stanowi jedność i nierozłączną całość. Nie jest możliwe utrzymanie w płaszczyźnie politycznej instytucji liberalnych i demokratycznych, przy równoczesnym stosowaniu w kwestjach ekonomicznych metod kolektywistycznych ze swej istoty autorytatywnych i totalitarnych.

Innego rodzaju zastrzeżenia nasuwa klasyczny postulat socjalizmu budowy ustroju bezklasowego, obalenia wszelkiej hierarchii klas i ustanowienia na jej miejsce doskonałej równości wszystkich członków wspólnoty. Wydaje się, iż ten postulat zaliczyć wypada do szeregu utopijnych mitów socjalizmu, a nie do idei pozytywnych, mających się doczekać realizacji jeszcze tutaj, na tym padole płaczu. Dzieje ludzkie nie znają tworu społecznego, gdzieby nie było zróżnicowania funkcji społecznych, gdzie wszyscy mieliby równy wpływ na bieg spraw publicznych, posiadali równą ilość dóbr majątkowych, słowem gdzieby nie było żadnej hierarchii klas. Współcześni nam maksymaliści bolszewicy głosili zrazu program usunięcia i zatarcia wszelkiej hierarchii społecznej i politycznej. W rzeczywistości zbudowali w Rosji ustrój państwowy oparty na najbardziej ekskluzywnej i ścisłej hierarchii członków partii komunistycznej i biurokracji rządzącej.

Rzecz nie w tym, żeby hierarchię znieść, lub zniwelować, bo to jest

niepodobieństwem, lecz by stanowisko jednostki w hierarchii społecznej zależało w głównej mierze od jej uzdolnień, charakteru, pracy dla zbiorowości, nie zaś od kryteriów przypadkowych : urodzenia lub majątku. Ustrój socjalistyczny winien dać każdemu równe szanse awansu społecznego, przez zniwelowanie jaskrawych różnic majątkowych, a gdzie istnieją i prawnych. W ustroju, w którym szeroka sfera działalności ludzkiej jest uspołeczniona, względnie kontrolowana przez władze publiczne, hierarchia ma tendencje do tym ostrzejszego zarysowania się.

Niejasny wkońcu wydaje się schemat genetyczny socjalizmu : Religia — Socjalizm — Walka klas. Socjalizm może zrodzić się w sumieniu jednostki na tle jej religijnych wierzeń, lecz to nie jest regułą. Inaczej bowiem należało by mniemać, że każdy człowiek szczerze religijny, musi stać się nieodwołalnie socjalistą. Socjalizm wyrósł na określonym podłożu ekonomicznym i politycznym, jest dzieckiem pewnej epoki i z nią podzieli jej los. Natomiast idee religijne mają cechę wieczności, są wrodzone naturze ludzkiej, trwać więc będą tak długo, jak długo żyć będzie człowiek.

Ponadto nieco dziwna jest teza, że walka klas wypływa z socjalizmu, a nie że socjalizm jest jej następstwem i zakończeniem. Jeśli główne żądania socjalizmu zostaną osiągnięte, to jest jasne, że walka klas stanie się bezprzedmiotowa. Obecnie w państwach częściowego socjalizmu, czy nawet integralnego kolektywizmu jesteśmy świadkami wykluczenia walki klas. Odkąd państwo stało się reprezentantem interesów zbiorowych, odkąd do władz publicznych należy ustalanie stosunków pracodawców do robotników, walka klas wyrażająca się w strajkach i akcji parlamentarnej, została surowo zakazana.

Tych kilka uwag, nie przeszkadza uznać niepospolitych zgoła zasług de Mana w nowej orientacji intelektualnej europejskiego socjalizmu. Jego wkład myślowy, owoc rzetelnej pracy mózgu i wysiłku patrzenia w przyszłość oświetla ciemne ścieżki, na które wkraczają społeczeństwa europejskie w poszukiwaniu nowych form życia zbiorowego i ładu społecznego.

DR. IGNACY CZŁOWIEKOWSKI.

KRÓTKOMETRAŻÓWKA HISTORYCZNA

I. Nad Rzeczpospolitą zawisa burza, bezprzykładna w historii kraju. Polska już od wieku z górą jest obiektem pożądliwości sąsiadów, wszystkie niemal ludy zamieszkujące Europę wschodnią i północną wdzierają się w jej granice, cudze wojska spacerują mniej lub więcej bezkarnie wzdłuż Wisły, Bugu, Niemna i Dniestru, — ale to są przeciwnicy albo trochę zbyt oddaleni, jak Szwecja i Turcja, albo za słabo zorganizowani, jak Kozacy, Tatarzy i Moskwa, żeby zadać ostateczny cios ogromnej bądź co bądź republice.

Dopiero teraz, w drugiej połowie XVIII wieku, wypełniają się kolejno wszystkie warunki jej zguby. Gdy opamiętanie wewnętrzne przychodzi za późno, gdy niema sił w społeczeństwie, któreby zdołały skutecznie podnieść miecz polski, jednocześnie na zewnątrz kończy się dogodna dla Polski wojna siedmio-letnia. Rosja, która pod Piotrem Wielkim zwróciła się ku Europie, a od pogromienia Szwecji pod Połtawą zaczęła swą wielką karierę polityczną, ciąży teraz coraz silniej całą długością swych granic zachodnich nad chwiejącą się w posadach Polską, olbrzymią ale chorą i bezsilną. Nacisk zmienia się w potworne kleszcze, gdy w roku 1762 Petersburg i Berlin podają sobie ręce w uknutym na zgubę Rzeczypospolitej sojuszu. Kleszcze zaczynają się automatycznie ścieśniać z chwilą śmierci Augusta III, gdy wśród paruset tysięcy polskich elektorów zjawiają się dwaj nowi, by decydować i zdecydować o obiorze nowego króla : Rosja i Prusy. Zguba Rzeczypospolitej jest postanowiona.

Znane są fakty, które decyzyjnie zamieniły w czyn rozbiory. Tu chcemy tylko w paru obrazach przypomnieć metody, o których pamiętają lepiej nasi dzisiejsi sprzymierzeńcy, niż może my sami.

27 grudnia 1763 roku następujące oświadczenie carowej Katarzyny zostaje wręczone prymasowi Łubieńskiemu :

Jeżeli kiedykolwiek ludzka złośliwość, połączona z kłamstwem, znalazła posłuch w społeczeństwach, to stało się tak w związku z Naszym postanowieniem popierania Piasta przy elekcji ; szerzy się mianowicie **absolutnie fałszywe przekonanie**, że zamiarem Naszym jest, z pomocą i w zмовie z Naszym elektem, **najechać niektóre prowincje Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego i przyłączyć je do Nas i do Naszego Imperium.**

Już początek Naszego panowania zadaje śmiertelny cios podobnym inwencjom, pozbawia je wszelkiego prawdopodobieństwa i uzasadnienia. Wiemy bowiem, że **pomyślność kraju nie zasadza się na podboju cudzych ziem.** By jednak Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie obcą była prawda i czystość naszych intencji, by wygnać na zawsze błąd i zwątpienie z najbardziej nawet ciasnych umysłów, **oświadczamy w sposób najuroczystszy, że szczerze i niewzruszenie stoimy na stano-**

wisku utrzymania Naj. Rzeczypospolitej w Jej prawach, wolnościach i konstytucjach, jak również w Jej posiadłościach, a to zgodnie z traktatem z 1686 roku.

Jednocześnie pragniemy podać do publicznej wiadomości, że, kierując się prawdziwą przyjaźnią i zasadami dobrego sąsiedztwa z Naj. Rzeczypospolitą, widzielibyśmy chętnie na Jej tronie prawdziwego Piasta, zrodzonego z matki i ojca polskiego i z polskiej szlachty. Wybrany z serca Narodu Król dałby wszelkie gwarancje, że Jego panowanie nie miałyby innego celu, jak spokój i szczęście Królestwa ; wówczas również Mocarstwa sąsiednie nie miałyby powodów do podejrzeń i niepokojów, jakich nie omieszkałyby w nich wzbudzić obcy książę, a doskonała ufność, przyjaźń i zasady dobrego sąsiedztwa znalazłyby niewzruszalne fundamenta.

Podpisano : H. CH. KEYSERLING.
książę N. REPIN.

II. W polskim kotle elekcyjnym kipi coraz potężniej, namiętności zalewają gryzącym jadem wszystkie sprawy państwa, w bezliku konfederacji, zrywanych sejmików, współ-walczących a zmieniających się ciągle stronnictw nikt już niemal nie szuka dobra Rzeczypospolitej. Moskwa wie dobrze, jak znaleźć jej klęskę. Wojska rosyjskie wkraczają w większej sile do kraju, w dysharmonii elekcyjnej coraz silniej słychać dziką melodię kozackich piszczałek. 4 maja 1764 roku tak wyjaśnia Rosja swoje postępowanie :

Przesunięcie korpusu wojsk Cesarzowej Wszechrosji nie może zagrażać ani wolnościom Naj. Rzeczypospolitej ani Jej pokojowi wewnętrznemu. Jej Cesarska Mość pragnęłaby uniknąć przedsięwziętych dotychczas zarządzeń, ale należało skłonić się przed okolicznościami, w których ani prawa, ani rozum, ani miłość ojczyzny i poszanowanie spokoju nie działały na umysły. Jej Ces. Wysokość pragnie jedynie utrzymania ładu publicznego, nie pozwoli więc by gdziekolwiek jedna strona uciskała drugą przez użycie siły. Oświadczamy przeto najuroczyściej, że wojska rosyjskie nie zakłócą nigdzie toku obrad i powstrzymają się od wszelkiej akcji tak długo, jak długo obywatele Republiki zaniechają gwałtów.

III. Niestety, « obywatele Republiki nie zaniechali gwałtów » i oddziały rosyjskie zmuszone są do torowania bagnetami drogi dla swego elekta, Stanisława Poniatowskiego. Potężnie zorganizowane stronnictwo Czartoryskich, sekundujące wówczas owym usiłowaniom, nie zaniedbuje przecie pozorów i, dla usmierzania niepokojów, rzuca krajowi taką deklarację posła rosyjskiego :

Nasza Dostojna Władczyni nie zamierza rościć żadnych praw dla Siebie, Swych Następców ani Swego Imperium do krajów i ziem, które należą do Polski i do W. Ks. Litewskiego ; uznając Ich panowanie

ofiarowuje ona raczej Naj. Rzeczypospolitej gwarancję i zabezpieczenie Jej praw i przywilejów, jak również krajów i ziem, które do Niej z prawa należą lub które posiada obecnie.

Warszawa 23 maja 1764. Podpisano : H. CH. KEYSERLING.
Księżę N. REPNIN.

IV. Zdobywszy tron polski, Rosja prowadzi dalej swą robotę wikłania Rzeczypospolitej w sieci, prowadzi ją coraz śmielej i otwarciej, bo też i liczba wojsk moskiewskich w Polsce rośnie powoli ale stale, jak wzbierająca powódź. Rozdmuchująca nowe namietności sprawa dysydentów daje jej znów okazję do interwencji w wewnętrzne sprawy Polski. Oto jak poseł rosyjski uzasadniał tę interwencję :

Warszawa 20 kwietnia 1766.

Nie ulega wątpliwości, że Rosja nie mogłaby ograniczyć swej opieki nad dysydentami bez ujmy dla swego honoru. Kierując się jedynie uczuciem najszczerzej przyjaźni, jakoteż pragnąc uczynić zadość obowiązkom dobrego sąsiedztwa, Imperatorowa wzięła i bierze w dalszym ciągu na siebie staranie o pomyślność Republiki. Ale, aczkolwiek wysiłki Jej nad przeprowadzeniem wolnej elekcji Piasta przyniosły wynik przerastający wszelkie oczekiwania, dzieło Jej nie byłoby całkowite, gdyby choć część mieszkańców była nadal pozbawiona szczęśliwych efektów Jej przyjaznej interwencji.

W swej depeszy do Londynu, poseł angielski w Berlinie tak ocenia przyjazną interwencję Katarzyny :

Panuje ogólne mniemanie, że sprawa dysydentów służy jedynie za pretekst, przesłaniający ambitne plany Carycy, która dąży do zmienienia polskiej konstytucji i uzyskania koncesji terytorialnych na rzecz Rosji i Króla Pruskiego.

MITCHELL.

V. « Mniemanie » angielskiego ministra zaczyna znajdować poważniejszy oddźwięk i w społeczeństwie polskim. Na sejmie 1766 roku wniesiony zostaje projekt zniesienia liberum veto — pierwsza próba reform. Rosja, dla zwalczania projektu, występuje po raz pierwszy z, nieśmiałyymi jeszcze, próbami teroru. Ale już w rok później poczyna sobie śmielej ; gdy opozycja sejmowa przeciwko nieproszonej opiece rośnie w siłę, Warszawa zostaje zalana rosyjskimi wojskami, a przywódców opozycji Repnin porywa i deportuje, ogłaszając jednocześnie w swej deklaracji :

Warszawa 14 października 1767.

Oddziały JCMości, przyjaciółki i sojuszniczki Republiki, aresztowały biskupa krakowskiego, biskupa kijowskiego, wojewodę krakowskiego i starostę dolińskiego za postępowanie uwłaczające godności JCMości, a to przez podawanie w wątpliwość czystości Jej zbawiennych intencji, tak bezinteresownych i przyjaznych dla Republiki.

VI. Cynizm Moskwy rośnie niezmiernie, gdy te pierwsze gwałty uchodzą bezkarnie. 24 lutego 1768 narzucony zostaje Polsce traktat... gwarantujący jej niepodległość :

« Traktat 1686 roku jest niniejszym aktem odnowiony stanowczo i formalnie » (Art. I).

« Strony podpisujące zobowiązują się najuroczyściej do wzajemnej gwarancji wszystkich swych posiadłości, i to na zawsze » (Art. II).

« JCMość potwierdza uroczyście konstytucję Republiki, formę Jej rządu, wolność i prawa ; zobowiązuje się najświętszą przysięgą, również za Swych następców na tronie Rosji, do zachowania, bronięcia i zabezpieczenia integralności Republiki » (Art. V).

VII. Gdy pierwszy opór zbrojny Polski — Konfederacja Barska — pada, gdy widać już, że Turcja, niedawny wróg a teraz jedyne mocarstwo śpieszące na pomoc Rzeczypospolitej, nie będzie w stanie uratować jej na polach bitew, Moskwa namawia chętne do grzechu Prusy i opierającą się niby to wstydliwie Austrię. Zobaczmy, z jakim nieporównanym cynizmem łączna deklaracja trzech dworów tłumaczy potrzebę pierwszego rozbioru :

Warszawa 18 września 1772.

Naturalne między krajami sąsiadującymi stosunki licznych już a zgubnych doznały zakłóceń naskutek nieporządków panujących w Polsce. Zmuszają one od dawna Mocarstwa do niesłuchania kosztownych zarządzeń, by zapewnić bezpieczeństwo Ich granic...

Ale, gdy kładąc w ten sposób tamę ruinie i rozkładowi Królestwa, nie mogą liczyć na wzajemne korzyści, zgłaszają One poważne pretensje do pewnych posiadłości Republiki, które nie mogłyby być porzucone na los wypadków... Trzy Mocarstwa — zastrzegając sobie prawo do późniejszego określenia swych żądań i oświadczając, że rezygnują na przyszłość z wszelkich praw do posiadłości i obywateli Republiki, — uznały za swój obowiązek zachęcić Naród polski do wyplenienia ducha zamieszek i nierządności, aby, ukonstytuowawszy legalny sejm, mógł On rozpocząć pracę, wspólnie z trzema Dworami, nad przywróceniem u Siebie spokoju i ładu...

VIII. Król, który możnaby sądzić, traktował dotychczas poważnie gwarancje i zapewnienia rosyjskie, wpada nareszcie w rozpacz. Ratunku szuka u samych zaborców, próbując zmiękczyć ich serca, żale i protesty śle 16 października do króla Francji, a 27 do króla Anglii. Ludwik XV nie odpowiada wcale, a Jerzy III pisze w byle zbywającym liście :

St. James 17 listopada 1772.

Z bólem najwyższym śledzę od dawna nieszczęścia WKMości i Polski. Obawiam się, że doszły dziś one do takiego stanu, że żadna inna interwencja jak boska nie byłaby skuteczna.

IX. Rosja trawi pierwszą porcję zdobyczy. Ale, gdy *l'appétit vient en mangeant*, czeka tylko na następną okazję. Nadarza się ona po 20 latach, bogatych w pomysły dla Polski wydarzenia wewnętrzne, ale niekorzystnych na widowni międzynarodowej. W maju 1792 roku armia rosyjska pod Kochowskim wkracza w granice Rzeczypospolitej. Po co? Na to odpowiada chętnie poseł Bułhakow:

Stałe i wielkoduszne starania JCMości, — wynikające z Jej ukochania sprawiedliwości i porządku, jak również z miłości i życzliwości dla Narodu, z którym łączy naród rosyjski **to samo pochodzenie i język, jak również całość stosunków wzajemnych**, — nieznośne były po nad wszelką wątpliwość **ambicjom i żądzy panowania** tych, którzy nie zadawając się przypadającą na nich z praw częścią władzy, szukali jej powiększenia ze szkodą dla państwa. W tym zamiarze nie cofnęli się oni przed niczem, by z jednej strony osłabić czujność Imperatorowej nad integralnością praw i prerogatyw Wspaniałego Narodu polskiego, a z drugiej **oczernić czystość i zbawienność Jej intencji**, przedstawiając je przy każdej sposobności w fałszywym świetle. I tak nie zawahali się, by rosyjską **gwarancję prawowitych konstytucji** tego Narodu **okrzyczeć jako upadające i haniebne jarzmo...**

JCMość wydała części swych wojsk rozkaz wkroczenia na terytorjum Rzeczypospolitej. **Wchodzą one jako przyjaciele**. JCMość ufa, że **każdy dobry Polak, prawdziwie kochający ojczyznę**, potrafi ocenić Jej intencje i zrozumieć, że **własne jego zbawienie** leży w przyłączeniu się sercem i orężem do wielkodusznych wysiłków, których Imperatorowa nie omieszka rozwinąć, **przy pomocy prawdziwych patriotów**, dla przywrócenia Rzeczypospolitej wolności i praw, zabranych Jej przez **rzekomą konstytucję 3 maja...** Gdyby jednak znaleźli się tacy, którzy przez upór w swych przewrotnych zasadach chcieliby przeciwstawić się dobrodziejstwu Imperatorowej i patriotycznym pragnieniom współ-obywateli, niech będą przygotowani na kary i nieszczęścia jakie na nich spadną tem słuszniej, że od nich samych tylko zależało uniknięcie pokuty przez niezwłoczne i szczere wyparcie się swych błędów.

X. Niestety, znajduje Rosja istotnie prawdziwych patriotów, dbających o własne zbawienie, którzy rozbijają od wewnątrz krzepniejący zbyt wolno obóz odrodzenia Rzeczypospolitej i przyspieszają jej upadek. 14 maja ogłoszony zostaje, zredagowany uprzednio w stolicy rosyjskiej, akt Targowicy. Wiążąc się « przy wierze katolickiej i równości wszystkim szlachty », « przy całości granic państwa », mówi on dalej:

A że Rzeczpospolita, podbita, w rękach uciemienźycielów moc całą mająca, własnymi siłami dźwignąć się nie może, nic jej innego nie pozostaje, tylko udać się z ufnością do **Wielkiej Katarzyny**, która **narodowi sąsiedzkiemu przyjaznemu i sprzymierzonemu** z taką sławą i sprawiedliwością panuje, zabezpieczając się tak na **wspaniałości** tej wielkiej monarchini jako i na **traktatach**, które ją z Rzeczpospolitą wiążą.

Dobrze zasłużyli się targowiczanie sprawie, którą uznali za swoją. Nie tylko ruszyli swoimi siłami, ramię w ramię z Kochowskim, przeciw słabej armii Poniatowskiego i Kościuszki, nie tylko po Dubience zajęli się skwapliwie rozproszeniem pozostałego wojska polskiego po całym kraju, nie tylko pomogli w zdemoralizowaniu i rozbiciu korpusu litewskiego, — ale stanowili oni dla carowej cenny atut w grze politycznej. Czy potrzebowała Rosja rzeczywiście tego atutu? Przecie armie rosyjskie zajmowały Wilno i Brześć i Warszawę i Kraków. Ale jest faktem, że gdy król usiłuje wytargować przy najmniej utrzymanie konstytucji 3 maja, Katarzyna mogła mu odpowiedzieć w liście z 13 lipca: « Chodzi mi właśnie o podeptane konstytucją a zagwarantowane przeze mnie wolności polskie; Targowiczanie bronią ich, opuścić ich nie mogę. Poddanie się jest jedynym środkiem prześlągnięcia. »

Wreszcie, by już nic nie zabrakło w dziwnie znajomym obrazie, uniwersały konfederacji targowickiej grzmią na wsze strony, że głównym przeciwnikiem szczerego sojuszu z Rosją jest « duch demokracji francuskiej, zaczynający się plenić w kraju polskim ». Ongiś « demokracja » był zbrodniarzem, dziś « faszysta ». Cóż się zmieniło, prócz pustych nazw?

XI. Król się załamuje, chce uratować od zagłady, co się jeszcze da, więc, by nie drażnić Rosji, przechodzi do Targowicy. Traktat drugiego rozbioru przyjęty zostaje grobowym milczeniem protestu 22 lipca 1793 roku przez okaleczone Sejm Grodzieński. Wkrótce potem, rozmiłowana w zakłamaniu Moskwa, narzuca groteskowemu rządowi polskiemu « traktat sojuszu », w którym jest powiedziane m. in.:

« Zważywszy, że główny ciężar obrony przed każdą napaścią spoczywałby na Cesarstwie Rosyjskim, Polska przyznaje Imperatorowej prawo do użytecznego wpływu w swych sprawach wojskowych i politycznych » (Art. VI).

« W konsekwencji Imperatorowa, Jej następcy i spadkobiercy, są wolni wprowadzić swe wojska na terytorium Rzeczypospolitej w wypadku każdej konieczności, ale za uprzednim przyjacielskim powiadomieniem rządu polskiego i po zasięgnięciu jego opinii » (Art. X).

XII. Żywot Targowicy nie przekroczył roku, zginęła jeszcze przed ostatecznym upadkiem kraju, gdy już nie była potrzebna Rosji do niczego, a jej członkowie poszli w upadającą rozsypkę, częściowo zagranicę. Naród padł w nierównej walce powstania kościuszkowskiego przeciw Rosji i Prusom. Państwo przestało istnieć 24 października 1795. Jeszcze wtedy niepoprawna obłudą rosyjska takie sobie wystawia świadectwo w ukazie Katarzyny do mieszkańców W. Ks. Litewskiego:

Petersburg w grudniu 1795.

My, Katarzyna II, do Naszych najukochańszych poddanych W. Ks. Litewskiego, do kleru, do stanu rycerskiego i do wszystkich mieszkańców miast i kraju: Powiadamiając was, Jako Naszych ukochanych i wiernych poddanych, o tym waszym nowym stanie, nieodwołalnym i po wszystkie czasy, poręczamy Naszą Cesarską godnością za Nas i następców Naszych nie tylko wolne wyznawanie wiary waszych przodków i zachowanie własności każdemu prawnie przysługującej.

jącej, ale również wszystkie prawa, wolności i przywileje, jakie posiadają
Nasi dawni poddani rosyjscy z łaski Naszych przodków i Naszej.

KATARZYNA.

EPILOG nie wchodzi w ramy tego krótkiego filmu, bo, po długotrwałych jeszcze i
dramatycznych wydarzeniach, nastąpił dopiero 11 listopada 1918 roku.

Dziś zdawałoby się, że historia się powtarza. Pewnym jest, że powtarzają się
metody. Ale, że prawdziwym źródłem polskich klęsk w tamtych czasach był sam naród,
nie należy posuwać analogii zbyt daleko. O polskim społeczeństwie ówczesnym tak pisał
Józef Szujski : « Przeważna liczba przerażona, steroryzowana, zagrożona utratą ojczywego
dobytku, ratuje się nikczemną, rozpaczłą powolnością, schyla kark pod wyroki obcych,
które się im wyrokiem fatalizmu być zdają, śpieszy z przysięgami homagialnymi i tęsknić
się zdaje do absolutyzmu zaborców, który jej spokojne życie zapewnia. Nikczemne
żywioty, pozostałe z lat dawnych, garną się z cynicznym uśmiechem do urzędu grabarzy
ojczyzny, przesadzają zupełny Rzeczypospolitej upadek, oświadczają się za przyłączeniem
całej Polski do imperyum rosyjskiego ».

Dzisiaj « przeważna liczba » Polaków nie « schyla karku pod wyroki obcych ». Robi
to tylko garstka ludzi słabych, albo « nikczemne żywioty pozostałe z lat dawnych ». Nie
oni decydują o prawdziwej woli Polski. Pięć lat nieubłaganej walki z najeźdźcą nie
pozostawia żadnych wątpliwości, że dzisiejsza Polska wyżej ceni wolność, niż
« spokojne życie ». I byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby następcy Katarzyny wzięli
pod uwagę, ale uczciwie, jej słowa : « Pomyślność kraju nie zasadza się na podboju
cudzych ziem ».

MIECZYSLAW SANGOWICZ.

MOJA FILOZOFIA

Żyję swym własnym trybem życia —
Swą filozofią — brudnych nóg —,
bo tylko ta jest nie do zbiccia,
choćbyś ją nawet młotem tłukł.

Niech ludzie mówią, że jest wariat —
że mnie tam którejś klepki brak —
Ja się w opończę swą ogarniam
i w świat wyruszam na jej znak.

W pełne wertepów wnikam knieje
choć w nerwy dzwoni strachu dreszcz,
by na polanie lec, gdzie sieje
księżyc złotawo-żółty deszcz.

W złocie się kąpię, choć nie robię
nic, co by chwalił Stwórca-Bóg,
tylko dlatego, że mam w sobie
tę filozofię brudnych nóg !

JANUSZ KUCHARSKI.

JESIENNA WYPRZEDAŻ

Tadeuszowi Szmitkowskiemu

Porządek musi być. Po tej i — tamtej stronie.
W Zaduszki więc (jest właśnie czas, bo — święta)
Sentymentalny przeglądaj inwentarz:
Co nam zostało z tych lat... po sezonie.
Co warto jeszcze odkurzyć w witrynie,
A co na ten, czy inny oddać cmentarz.
Na której krzyż postawić pajęczynie.
Na którym « Wspomnij Mnie! » Na którym « Czy Pamiętasz? »

— dni, ucięte, jak jasny pukiel drogich włosów.
— noce, zgasłe w stygnącym na oknie lichtarzu.
— skoncentrowany w kropli sens makrokosmosu:
liliowej kropli opium w czyimś kalamarzu.

— jedwabne okrucieństwo łagodnej surdiny.
— płomieni w lustrach magia i — bezsiła.
— w nieruchomych klepsydrach zamknięte godziny:
te, które nie nadejdą, po tej, która — była.

— bezruch pogoni i tępno czekania.
— pachnący obietnicą ciemny uśmiech mitu.
— w pół-oddechu, w pół-rytmie urwana litania
porannych zmierzchów i wieczornych świtów.

Tak to w listopadowe Zaduszki się nużę.
Tak to sprzątam w witrynie, przypruszonej kurzem.
Lecz (jeszcze...), śnieg zmywając z obłoczonej szyby,
Szepcę swe — niepoprawne — « ... a jeśli? — a gdyby?... »

Cóż...

ni tobie — ja, ni ty — mnie, rady (widzę...) nie dasz,
Czasie. Złudo spiżowa. Aksamitna koso:
Ja — śnieg z witryny zmywam rozrzewnienia rosą,
Ty — moim snom, pogoniom, milczeniom i głosom
Czarną kredą na śniegu piszesz:

Jesienna Wyprzedaż — — —

JERZY BRZOWSKI.

* * *

*Do pamiętnika Mieczysławowi Zawadowskiemu
Schottensee, 21.9.1943.*

Mam ja wśród wielu słabości niewinną słabość do kwiatów
i często gdy przechodzę wśród klombów i rabatów
przystaję, biorę w siebie zapachy i barwy
by sprawdzić czy się we mnie dawne nie zatarły.

Najmłodszych lat wspomnienie — niezapominajka
wiosennym swym pachnieniem powraca mnie w bajkę.
Chłopięcych czasów przyjaźń : bratki aksamitne
o wszystkim zapomniały i pachną błękitnie.

Pierwszej miłości świadki — białe tulipany
jakiż były szczęśliwe i zakłopotane
gdy czerwień namiętności — usta wonnej róży
chciały mnie sobą urzec i szczęście wyrzucić.

A maki, — pocałunki zagubione w zbożu
wabią : zostań, uśnij w szeleszczącym morzu.
Bławatki się niebieszczą dziewczęcym spojrzeniem
z tęsknoty i zadumy drżą pod wiatru tchnieniem.

O kwiaty lat minionych — jak na różańcu z kości
na was — kwiaty — odmawiam wzruszenia mej młodości
i do was myślą wracam — gdy kwietnym spity trunkiem
smak sobie chcę przypomnieć pierwszego pocałunku.

Ale — gdybym miał zasnąć gdzieś w polu na wieki
nie na was chciałbym patrzeć nim zawrę powieki.
W ostatnim tym spoczynku, pod strudzoną głową
niech mam kwiaty najmiłsze : — wrzosi purpurowe.

ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

SYN MARNOTRAWNY

Matce mojej

*Ostatnie promienie dreszczem na twarz padły
i ucałowały czoło, po prostu, tak właśnie,
jak ktoś, kiedyś, całował bez uniesień żadnych
z czułym słowem na ustach: « Pomódl się nim zaśniesz »...*

*Mam promienie na twarzy, na piersiach i włosach,
ciepłe, pieszczotliwe, tak jak czyjeś ręce,
które o sen zdrowy dla mnie prosiły niebiosa,
gdy dniem zmęczony modlić nie mogłem się więcej.*

*Mam na twarzy promienie, pachnące dzieciństwem
i bajek tysiącem, rzewną kołysanką,
młodością bujną, pełną przestróg macierzyńskich,
że mi życie sprawić może wielką niespodziankę.*

*Mam na twarzy promienie, które już odchodzą
ostatnią pieszczotą wołając: Pamiętaj
iść z czołem podniesionym wbrew wszelkim zawodom
modląc się, — « bo modlitwa, to rzecz wielka, święta »...*

*Zmrok rozpełzał się szary polipami cienia —
Zeszedł promień z mej twarzy w bolesnej zadumie...
Chcę go modlitwą zatrzymać, lecz pełen zdziwienia
sposstrzegam, że modlić... że modlić się nie umiem.*

JANUSZ KUCHARSKI.

SZARUGA

*Beznadziejne, szare, chlupotanie deszczu
o dach baraku, o rozmokłą ziemię...
Mrąca monotonia bezbarwnych szelestów
osnuwa mnie, znieczula... nic nie wiem... drzemie.*

*A w bezwładzie myśli mrze zwołna pragnienie
burzy i piorunów... Mgła je jakaś głuszy...
Coraz dalej, głębiej, zapadam w omdlenie
i w końcu deszcz już chlupie o bruk mojej duszy.*

JANUSZ KUCHARSKI.

AKROBACJE LUNATYCZNE

*Mostem biało-mlecznym tak iść zgubiony
W pyłach nostalgicznych, których ruchem
Myśli, rozbite w drobne słów atomy,
Niepojętym zaświata drżą bezruchem.*

*Białe owce chmur w podlesne gna pastwiska
Księżyc, co na kobzie gra, jak pasterz —
A ze szczelin, skąd niebo z ziemi tryska
Wulkan wykuwa słońce na promienne race.*

*Za fioletem mgieł brzmi szklana kapela —
To wiatr raz po raz dmie w gałęźne dudy,
Jakby tędy iść miała palmowa niedziela
Usta maczać w źródle śpiewnej studni.*

*W górze gra błękit na sosen zieleni —
Sródźrzewny mrok igliwną rzeką pluszcze
I szeptem kolorowym przemawia do kamieni
Zimnej duszy, w mszanym drżącej futrze.*

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

NIBY...

*Niby z Tobą jestem... może się tudzę?
To się wydaje tak nierzeczywiste —
Snuję sen jakiś, niewyraźny, mglisty,
I zaraz się zbudzę.*

*Widzę i wiem że nic się nie zmieniło.
Od Ciebie, naprawdę, jestem daleko...
Czuję łzy moje drżące pod powieką
Bo mi się przyśniło.*

RYTA ROŚCISZEWSKA.

NIEBO W PERUCE

*Noc wszędzie jest taka sama
kiedy całujesz jej usta:
płonąc się barwą rozpusty,
księżycem nie jest pijana.*

*Niebo w białej peruce
skrzętnie ukrywa łysinę —
Swawolne lubię dziewczyny,
zbyt młode wino: dziewice.*

*Na drogi mleczne choć wstąpisz
gwiazdne całować opale,
pójdą za tobą twe żale,
ich, — i tam nie zapomnisz.*

*Powietrze parne jest ciałem —
A jeszcze owe księżycy
w winie maczane — I żale
nieszczere, rumieńce, dziewice —*

KRZYSZTOF JAŁOWIEC.

NA BRZEGU SZKLANKI

E. J.

*Zzieleniała zazdrość przykucnęła w kącie
i upija się parą czerwonego wina...
W pokoju są: — Oni —, w radiu tango mrące
i wspólna rzecz ich — to znaczy dziewczyna.*

*Dwie przeszłości i teraźniejszość i dwie teraźniejszości —
zonglują słowem — tego chce konwenans —
Wino ziewa w szklankach czerwone z żalości
bowiem iskry leniwie drzemią na antenach —*

*A zazdrość tymczasem z kąta się rozwija,
żarłocznie przylegając do jednej z trzech szklanek.
Zazdrość? — zazdrość bezsprzecznie niczyja
winem pali, więc cierpi szczęśliwy kochanek.*

JANUSZ KUCHARSKI.

PRZEZ ULICE WARSZAWY

Noc była wyjątkowo ciężka.

Artylerja niemiecka ze wzmożoną siłą biła w centrum Warszawy. Okolice kościoła Św. Krzyża, placu Napoleona, Nowego Światu, Brackiej, Smolnej, aż po hotele Bristol i Europejski, drżały od bijących w mury kamienic pocisków. Echo zagłady, jak pijany zapóźniony nocny przechodzień, odbijało się od ścian bombardowanych ulic, potęgując grozę tej dwudziestej szóstej nocy oblężenia.

Przemykając się od bramy do bramy poprzez podwórka domów połączonych obecnie poprzebijanymi przejściami, czasem przez korytarze mieszkań prywatnych, czasem przez tunele piwniczne, przedostałem się z powierzonego mi stanowiska do domu koło godziny trzeciej w nocy.

Armaty huczały bez przerwy.

To tu, to tam odpryskiwał, jak odcięty, balkon, ustrojony doniczkami kwiatów.

To tu, to tam wykusz domowy zmieniał się nagle w czarną poszarpaną czeluść.

Czasem rozległ się krzyk bólu czy rozpacz. Czasem zatętniły czyjeś kroki, biegnące po pomoc czy opatrunek.

Dobrnąłem do domu. Upadałem ze zmęczenia. Miałem cztery godziny odpoczynku. Nie wolno było tego czasu tracić. Rzuciłem się na ustawione w przedpokoju łóżko. Po sypialni latały odpryski szrapneli. Tu zaś byłem zabezpieczony — w moim pojęciu — od pocisków przyległymi pokojami od ulicy. W nocy na szczęście lotnictwo niemieckie nie bombardowało.

Mieszkałem na drugim piętrze. Zanim od dachu pocisk do mnie doleci, uważałem że mogę spać spokojnie. Zasnąłem. Spałem. Co za szczęście! Po tylu godzinach pracy w piekle dziennego bombardowania, wśród piwnic gdzie trzeba było docierać z żywnością. Wśród bohaterskich obrońców i niemniej bohaterskich mieszkańców, skazanych na wszystko co najgorsze i znoszących to najgorsze z jedną tylko myślą: « przetrwać »!

Przetrwać choćby jeszcze jeden dzień tylko! Ogień artylerji nie osłabł, nie zmniejszył się, kamienice drżały, huk szedł po mieście. Ale ja spałem. Ile czasu — nie wiem.

Zbudziło mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi kuchennych.

Podniosłem głowę. Było cicho. Zupełnie cicho. Nie mogłem zrozumieć co się działo. Gdzie jestem. Co się dzieje. Dobijanie się do drzwi otrzęwiło mnie. Pobiegłem do kuchni. Otworzyłem. Przedemną stał Janek.

Janek, nasz czternastoletni, nieustraszony chłopiec redakcyjny.
— Niech pan idzie — mówił rozkazująco — prędko! Przesłali po pana od prezydenta Starzyńskiego. Ale zaraz, krzyż pan dostał!

— Zglupiałeś. Co za krzyż?

— Pewnie, że jeszcze nie na Powązkach, bo tam trudno dojechać.

— Nie dowcipkuj, powiedzno lepiej dlaczego tak cicho.

— Bo nie strzelają.

— Widzę, że wszystko wiesz. Pewnieś się w nocy zakradł jak Kmicic i wysadziłeś Niemcom największe działo?

Janek obrzucił mnie piorunująco pobłażliwym spojrzeniem. Umiał Trylogję niemal na pamięć. Dowcipów lub pomniejszych swych ukochanych bohaterów nie tolerował. Kmicic to był Kmicic — ani on, ani ja, ani nawet zdobywcy tanków na Woli nie mogli się z nim równać!

— Niech pan nie zwleka! Czekają na pana w podziemiach od Danielewiczowskiej. Pomogę panu przejść. Już po piątej, na szóstą ma pan tam być.

Ruszyliśmy zgodnie i możliwie pospiesznie.

Ulica była pusta. Świt. Słońce dopiero zapowiadało się gdzieś smugą jaśniejszą z za Wisły. Świt po dramatycznie głośniejszej nocy. Dopiero gdzieś gdzie wychylały się z bram zaniepokojone i zdumione ciszą, zmęczone, zmięte, szare twarze mieszkańców.

Wyszliśmy na Nowy Świat.

Od dwóch dni nie byłem za dnia na powierzchni tych ulic warszawskich. Telefony nie działały. Wiadomości tragiczne woleliśmy traktować jako nieodpowiedzialną plotkę. Pomniejszaliśmy raczej w swej świadomości pogłoski o stratach i zniszczeniach. Teraz — po dwóch dniach — stanąłem oko w oko z dzielnicą, której każdy metr znałem od dziecka. Znałem — a dziś...

Dziś szedłem ulicą i zgadywałem koło którego domu przechodzę. Przypominałem sobie — co na tem miejscu było?

Na rogu Chmielnej i Pierackiego dwie kamienice pięciopiętrowe padły krzyżem w poprzek ulicy. Wielki dom Malinowskiego zawałił wejście na Chmielną. Wzgórze wysokości czterech metrów powstało na środku jezdni. Z drugiej strony kamienica aktora filmowego Bandy leżała podobnie, wznosząc takież pagórek z cegieł, połamanych belek i mebli. Trzeba się było wspinać wąską ścieżką, jakby drogą polną, żeby przebrnąć te zapory. Wielkie czeluście paropiętrowych bloków wisiały w powietrzu, grożąc dalszym zawaleniem. Domy narożne na ul. Pierackiego po drugiej stronie — wypalone i czarne, stały jak groźne ślepce, bez łez patrzące na los swych sąsiadek z przeciwka.

Pod ścianą domu Nr 27 na Nowym Świecie u wylotu Chmielnej coś leżało. Okryte szarą płachtą czy workami. Spojrzałem w tę stronę. Z pod szarej płachty wyrżał ku mnie żołnierski but, a nieco dalej nieokryta materiałem prostopadłe wzniesiona ku niebu ręka z zaciśniętą pięścią.

Sztywna, martwa, grożąca pomstą, czy wzywająca kary boskiej — ręka żołnierska.

Jak memento nieuniknionej sprawiedliwości, rzucone tym, co bezbronne miasto bombardowali świadomie i rozmyślnie, chcąc przerażeniem i krwią i ruinami zdusić moc ducha mieszkańców.

Patrzyłem na tę rękę wzniesioną. Pośmiertne przekleństwo i zapowiedź nieuniknionej kary. Płynęła z niej ku mnie pewność i wiara, że tak będzie, że tak się stanie — że opadnie z ulgą w dniu zwycięstwa ta wzniesiona ręka rażącego bombą żołnierza polskiego.

Przebrnąłem przez pagórek na środku Nowego Światu i wśród piachu gruzów, szkła i splątanych kilometrów drutu posuwam się dalej. Szeregu domów po nieparzystej stronie ulicy poprostu niema.

Doły, pagóry, ruiny.

Tkwią opalone ściany domu Nr 41, ale obok, tam skąd śmiały się wielkie witryny pełne róż, storczyków, konwalji, kwiaciarni Gronowskiego — niema poprostu nic. Nie wychylają się już jak ongiś gibkie łodygi dwuodcieniowych *Maman Cochet* ani złotych *Maréchal Niel*, ani wonne bukiety śnieżnobiałych bżów...

Kupy błota i cegieł, grobowe czeluście cuchnących piwnic wznoszą ku mnie swe otwory, podobne do uśmiechu trupiej czaszki.

Po drugiej stronie — narożnik Ordynackiej spalony aż po gmach Konserwatorium, chyli się cały ponad ulicą, jakby zamierzał rzucić się z rozpaczy na bruk. Poprzez czeluście spalonych resztek lewej strony Świętokrzyskiej widać domy Wareckiej, domy na placu Napoleona. Sterczy ściana redakcji « Robotnika », spalonej, zbombardowanej reduty Niedziałkowskiego, skąd codzień płynęły słowa jego wezwań, piętnowań wroga w artykułach podpisywanych imiennie przez cały czas oblężenia.

Słońce wolno wznosi się nad tym rumowiskiem. Lekki przymrozek tu i owdzie zabiela strumienie wody wyciekłe z połamanych, poskręcanych jak ljanya rur kanalizacyjnych. Coraz więcej ludzi wypełza na ulice.

Cisza.

Cisza w powietrzu i na ziemi. Ludzie wznoszą oczy ku niebu. Wypatrują aeroplanów. Nie mogą pojąć co się stało. Co oznacza ta cisza po nocy gwałtownego bombardowania? Po trzech dniach nalotów nieustannych i bezkarnych!

Przez małe drzwiczki od strony Danielewiczowskiej przedostają się do gmachu Ratusza. Wszystkie inne wejścia zatarasowane, obstawione wartą. Schodzę w podziemia.

Niby to schrony. Niby biura prezydjum. Niby sztabowe kwatery.

Elektryczność nie działa. Elektrownia zbombardowana. Gdziekolwiek palą się ogarki świec. Błade światło dnia zwolna przesącza się do piwnic. W korytarzu i wielkiej jakiejś komnacie parę stołów i ławek. Pełno ludzi.

Urzednicy magistratu. Skauci-lacznicy. Wojskowi. Pogotowie sanitarne. Pogotowie przeciw-gazowe. W rogu na maszynie blada panienka pisze raporty i rozkazy dzienne. Twarze zmęczone. Twarze zacięte. Twarze ponure. Twarze niepoddające się zwątpieniu. Czekaają. Gotowi spełnić każdy rozkaz. Przeczują coś strasznego. Nie chcą wierzyć. Odpędzają myśl przerażającą a natrętną.

Sciskam dłonie znajomych. Sciskam dłonie ludzi poraz pierwszy widzianych. Przedostaje się do sąsiedniej izby piwnicznej. Tu już mniej osób. Najbliższy sztab prezydenta. Sekretarki. Porucznik-adjutant, jeden z radców prawnych. Podpułkownik, dwóch majorów, trzech dyrektorów magistratu, kilka pań z różnych sekcji sanitarnych i żywnościowych. Nici, arterje obrony cywilnej miasta.

Ktoś mi ściska dłoń, pocichu składa życzenia. Pokazuje mi listy. Rozkaz dzienny generała Rómmla — jestem na czwartym miejscu. Powinienem się cieszyć. Być dumny. Nie mogę. Nie umiem. Niema miejsca w naszych sercach na radość osobistą.

Coś radosnego zamarło w nas do końca życia. — Widziałem piwnice pełne małych dzieci. Siedziały tam z matkami trzy dni. Błogosławieństwem obsypano mnie za wiadro wody. Bochenek chleba dzielono na 30 kawałków. To — to było ważne! Wszystko inne — to codzienny blichtr.

Rozmawiamy półgłosem. Jak na pogrzebie. Nikt nie śmie powiedzieć czegoś bardziej określonego, pewnego. Unikamy swych oczu, a czasem spojrzenie się zahaczy o czyjąś łzę, dławioną siłą woli.

Wartownik otwiera boczne drzwi. Wchodzi Stefan Starzyński.

Jest blady. Twarz ma ściętą zmęczeniem i bólem. Głos ochryply, nadszarpięty przemówieniami przez radio, pracą nadludzką, niedospaniem. Szybko w rogu pokoju odbywa krótką naradę z wojskowymi. Podchodzi do jednej z sekretarek, mówi do niej półgłosem: « Proszę zanotować, gdybym nie wrócił. » Dyktuje. Trwa to może trzy, może pięć minut. Jeszcze parę poleceń członkom zarządu miasta. Podchodzi do mnie. Podaje mi urzędowy papier i wstążeczkę. Sciskamy się za ręce. Patrzymy sobie w oczy. Najzyczliwsze słowa więzną w gardle.

Przed prezydentem staje adjutant: « Panie prezydencie, samochód gotów. »

— No to jedźmy — odpowiada Starzyński — żegnaj państwa. I zaczyna po kolei ściskać dłonie obecnych.

Otaczamy go kołem.

Gdzieś pod ścianą zaczyna płakać któraś z pań. Ktoś głośno jęknął « Jezus, Marja ».

Prezydent Starzyński coraz spokojniejszy, coraz bardziej opanowany, żegna się z nami. Już idzie ku drzwiom.

— Ależ pan prezydent nie ma palta, dziś przymrozek — woła któraś z pań — dajcie palto dla prezydenta!

Jestem niemal tego samego wzrostu. Zdejmuję moje palto i podaje. Starzyński zatrzymuje mnie ruchem ręki i pyta : « Ma Pan w domu drugie palto ? bo jak nie wrócę ? »

— Będzie mi się zdawało, że choć w ten sposób jestem przy panu — odpowiadam.

— Nie, nie trzeba — mówi wolno — już jest słońce, będzie ciepło. To nie powinno długo trwać. — Żegna nas skinieniem dłoni. Wychodzi.

Głucho zatrzęsnęły się drzwi.

Nikt nic nie mówi. Wszyscy udają, że zaczynają pracować. Maszyny stukają. Łzy maszynistek-ochotniczek lecą na klawisze. Gasną dopiero co zapalone papierosy. Trzaskają maszynki i zapalki. Ludzie powoli wysuwają się przez jedne lub drugie drzwi. Izba tragicznej decyzji pustoszeje.

Dopaliły się świece na biurkach i stołach. Światło. Dienne światło dnia 27 września przenikło do piwnic. Stał się dzień.

Pierwszy dzień nadchodzącego nieszczęścia.

* * *

Wyszedłem z podziemi Ratusza. Idziemy we dwóch. Wielki, w rozwianym palcie, Michał Sobański, towarzysz wszystkich prac, zapalony, odważny, pełen temperamentu, lojalny w godzinach największych niebezpieczeństw, trudności — dziś niestety ofiara tragiczna Majdanka — kroczy koło mnie.

Idziemy. Poprzez zamienioną w gruzy Wierzbową, plac Małachowskiego, Mazowiecką — idziemy do sztabu. Posiekana kulami, z opalonemi oknami Zachęta zabarykadowała swe wejście, by lepiej ukryć « Grunwald » Matejkowski. Różaniec grobów rozciąga się na skwerze u jej wejścia. Spalony kościół Ewangelicki i wypalony do dna wielki dom dochodowy na rogu Traugutta — rywalizują swymi ruinami z zawalonym narożnym domem — ongiś salą koncertów kameralnych Grossmana.

Wchodzimy w Mazowiecką. Na jezdni tłum ludzi. Otaczają wzięte dziś do niewoli w okolicy Puławskiej tanki niemieckie. Wloką się powoli środkiem ulicy. Eskortuje ich dwóch żołnierzy i czterech posterunkowych. Załoga niemiecka jest wewnątrz. Gazeciarze warszawscy, te wróble stolicy, wskakują to z tej, to z tamtej strony na toczące się potwory. Zaglądają do wieżyczek. Krzyczą radośnie. Nawołują : « Te, Niemiec, pokaż łeb ! » i inne różnorodne propozycje im robią.

Toczą się dziś rano jeszcze zdobyte tanki niemieckie, toczą się przez Mazowiecką. Tłum uliczny wita je i bawi się niemi radośnie. Bawi się niemi — tłum uliczny. Bawi, bo... jeszcze nie wie.

* * *

Na rogu ulicy Świętokrzyskiej leży koń.

Duży, rosły, trafiony pociskiem złoty kasztan. Leży — bez uprząży, bez siodła. Wielki łysy łeb zalany krwią szczyrzy w ironicznym uśmiechu zęby. Skóra na zadzie już rozplątana, wisi jak wielki łachman. Na grzbiecie zgodnie siedzą z dwóch stron jakiś robotnik i starsza kobieta. Mają noże w rękach. Tną równo. Spokojnie. Wycinają duże połacie mięsa. Robotnik ma worek. Kobieta koszyk. Z przeciwnej strony, od brzucha, duży kundel zagłębia łeb we wnętrzościach końskich i ciągnie je, rozpierając się wszystkimi łapami dla dodania sobie siły.

Dwa małe bose jasnowłose czterolatki, z palcami w ustach, tkwią w pobliskim rynsztoku i z podziwem wpatrują się w tę scenę, godną groźnego pędzla Goy'i.

* * *

Wchodzimy do sztabu. Schodzimy po wielu schodach. Legitymujemy się licznym wartownikom. Świcimy sobie w ciemnościach latarkami. Jesteśmy w podziemiach P. K. O. od strony Marszałkowskiej. Dziś sztab jest tutaj. Przedwczoraj był gdzieindziej. Ale « wymacany » artylerją przy pomocy piątej kolumny, musiał się wyprowadzić z gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które ciężko zapłaciło za tego chwilowego lokatora.

Przedostajemy się do podpułkownika L., zarzucamy go pytaniami. Czy to możliwe? Czy to prawda? Więc już nie ma innej możliwości?

Pułkownik nam tłumaczy, — uzasadnia, rozumuje, ale oczy ma gdzieś wbite w ścianę, twarz ziemistą, głos przetrącony.

Nagle widzę wchodzącego generała Karasiewicza-Tokarzewskiego. Idę ku niemu i mówię: « Generale, czy to prawda? W piątek pan mówił że możemy się bronić jeszcze trzy tygodnie! »

Generał patrzy mi w oczy i powiada zduszonym głosem: « W piątek mówiłem. W piątek byłem pewien. Ale wczoraj wyleciał w powietrze największy skład amunicji. . . Mogliśmy się dotąd bronić bez elektryczności, gazu, wody, ale dziś mamy tylko po cztery pociski na armatę — praktycznie jest to jedna godzina ognia. Moglibyśmy przetrwać dzień i zamilknąć z braku pocisków. Ale trzeba skorzystać nim nieprzyjaciel dowie się o tym stanie rzeczy. Trzeba skorzystać dziś, kiedyśmy odparli wszystkie nocne ataki. Kiedyśmy od strony Grochowa i Czerniakowa wyparli Niemców do Wawra i Wilanowa. Trzeba wykorzystać warunki dla wojska i dla ludności. Tak każe rozum, kiedy serce w rozpaczę chciałoby skoczyć tylko na te stojące tam tanki i armaty ».

— Delegacja wojskowa przed chwilą pojechała na rokowania — dodał podpułkownik L.

Nie było już żadnej wątpliwości. Żadnej nadziei. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Spotkamy się — rzucił z bolesnym uśmiechem Tokarzewski.
Spotkaliśmy się.

* * *

Wolno wyszliśmy z podziemi sztabowych. Wsparłem się na ramieniu Sobańskiego. Zdawało mi się, że mi przybyło sto lat. Pierwszy raz w życiu poczułem się beznadziejnie stary. Szliśmy bez słowa. Na ulicach rósł tłum. Wszyscy korzystali z niespodziewanej ciszy, aby wyrzec na świat. Skonsztatować rozmiary zniszczenia. Zaopatrzyć się w wodę. Odwiedzić znajomych. Sprawdzić kto żyje, kto zginął.

Ludzie nie rozumieli, co znaczy ta cisza. Snuli domysły. « Zawieszenie broni — ktoś mówił — żeby pochować zabitych ». « Niemcy czekają na najcięższą artylerję » — tłumaczył jakiś strateg. « Sosnkowski z odsieczą sowiecką zaszedł ich od Dębina » — przelicytowywał go inny.

Ludzie snuli domysły, rozwiązywali zagadki, nie wiedzieli... Myśmy wiedzieli. Szliśmy bez słowa. Weszliśmy w ulicę Wiejską. Tu było mniej gwaro.

* Nagle zdaleka zobaczyłem po drugiej stronie ulicy znajomą mi z widzenia staruszkę. Szła czarno ubrana. Wyprostowana. Błada. Znała mnie też z widzenia. Wiedziała kim jestem. Kiedy mnie dostrzegła, skierowała się przez jezdnię w naszą stronę. Szła ku mnie. Nerwowo. Coraz szybciej. Patrzyłem na nią — i dotąd widzę tę postać starszej, prawie siedemdziesięcioletniej kobiety w skromnej czarnej sukni. Takie były grottgerowskie postacie Polek, co cierpiały bez łez, co odprowadzały bez łkania na Sybir, co rękami chwytaly bagnety.

Przeszła przez ulicę. Stała przed nami i jakby z wyrzutem, z pogrózką zawołała : « Panie, dlaczego nie strzelają ! Co znaczy ta cisza ? Co to jest ! Przecież się nie poddajemy ! To niemożliwe. Tyle męki. Tyle ofiar. Naprawdę ! Dlaczego nie strzelają ? »

Staliśmy na wprost siebie. Ona — jak wyrzut. My — bezradni, bez możności słowa pociechy, zaprzeczenia. Spojrzałem jej bez słowa w oczy, schyliłem się i pocałowałem ją w rękę. Nie potrzebowałem nic mówić. Podniosła ręce do skroni i usłyszałem przenikliwe, rozpaczliwe słowa : « Boże, Boże, to niemożliwe, to niemożliwe... »

Rozeszliśmy się w milczeniu.

A kiedy, dziś czy wczoraj, czy jutro przypomnę sobie jej oczy, jej tragiczne pytanie, i pomyślę, że to w mieście bez wody, bez światła i żywności, w mieście płonącym, bombardowanym bezlitośnie ; w mieście gdzie ruiny i piwnice stały się mieszkaniem — kobieta stara i siwa, kobieta słaba i znękana, nie o zawieszenie broni, nie o zaprzestanie walki, ale z rozpaczą w głosie rzucała nam pytanie : « dlaczego nie strzelają » ? — i niepomna na udrękę

i straty wołała w rozpaczy bezsilnej « to niemożliwe » — to widzę dziś, tak jak widziałem i czułem wtedy — duszę Warszawy.

Duszę Warszawy nieugiętej i niezdobyczej. Duszę Warszawy, której ani rzezie praskie, ani mordy gestapowskie nie zmoły i nie zmoją.

Przeszli Suworowy, Murawiewy, Apuchtiny, Paszkiewicz-Erywańscy, Skalony. Przejdą Franki, Geislery, Himlery, Hitlerzy — przejdą potępieni w przekleństwie i pogardzie, a duch Warszawy — tej co się pyta « dlaczego nie strzelają » — będzie jaśniał w aureoli wolności, jak puklerz nieugiętej narodowej woli.

LEON CHRZANOWSKI.

DWIE JESIENIE

Usidlany siecią gwiazd wieczór trzepocze
szmerem, który poniósł wiatr
zamyślony dzisiaj o czymś
i rozwikła sieci gwiazd.

Szmaragdami tli się nieba aksamit,
poplątany echami sosnowych słów —
tak dobrze być nam z zapachami
dawnych liści — ptaków — bżów.

Wieczór skrapla się mgłą, nim się nie scukrzy
zmierschem i dolinami zacznie biec —
a gleba duszy o jeden ból tłustsza
sercem bije większym o jeden więcej miecz.

Liście są żółte — czemu nie czerwone —
jaka w tych liściach byłaby treść —
jesień wyciąga brzoźowe dłonie —
i z naszych dłoni czerwony pada deszcz.

Spójrz i poznawaj w spadłych liści barwach
siebie i w duszę własną spójrz —
jak zieleń duszy — ozdoba dawna —
liściami u twoich pada stóp.

Bo z wczoraj idą leśne zapachy
dzisiejszą drogą, którą ludzki zmiersch
wczorajszej duszy zielone światy
dzisiejszym kluczem otwiera wierzb.

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

JAK WOJTEK DĘBOWY WYKIEROWAŁ SIE NA BOROWYGO

(Opowiadanie w gwarze kaliskiej.)

Z Piwunic prowadziła sie szosa strasznie daleko, kajsiś aż do Brzezin i jesczy dali we świat, niewiada gdzie. Bory zaczynały sie zaro za chałupą Dębowego. Lis, Borek, Wolica, stały te wsie już w czystym lesie i chłopcy w nich nojwincy kole drzewa robiły. Do chałupy Dębowego, ma sie rozumieć, ode wsi był sielny kawoł drugi, a że szło sie do ni bez podmokłe łunki, mało wiela kto na to sie pisał, bo i nie było poco — koždy jedyn wiedziol, że u Dębowych bida i nie wiada z cego tam żyły, bo gruntu u nich lichu było, łunki ino kawolek i jedno krowa — winc można powiedzieć, że docna te ludzie na tym zadupiu zdziwały. W kościele nawet mało co widziało sie Dębowych, pewnie ta obłucyć ni miały sie w co i tak ludzie o nich, można rzec, prawie zabocyły. Dziochów¹ u nich było dwie. Kiej ino ździebko podrosły, wyguniła je stara Dębowa z chałupy we świat, na służbę, chociaź strasznie becały, ale co miała baba robić z nimi, drzewa ta nie ugryzie, kraść nie była zwyczajno, bo choćby ta i ukradła, to gdzie? W lesie pyrek, ani chleba nie najdzie, a we wsi koždy sie pilnowoł i nijako było złodzike ze siebie robić. Nojprzyndzy to jesczy można było co porwać we dworze, ale dwór był daleko, oże we Stobnie. Cały dzień du niego bez okrutne lasy iść musiol.

Kozoka² miol stary Borowy jednego ino, Wojtka. Kiej mu lata jego przyszły, zaprowadzili go ociec do Piwunic do pana naucyciela, do zapisu. Jak sie nauka zaczena, przyszed Wojtek do szkoły. Chłopczyso było strasznie wielgie, patrzało zgroźnie, a ojcowa bucha³, w którą go matka odzieli, była mu, rzec można, prawie, że ino mało co za kolana singała.

Dziecioki nie widziały jesczy nigdy takigo wielgasa, co dopiero lamynatorz mo ślabizować, winc zaro go wszyskie pozbadły⁴ i zaczyny wołać na niego : « łociec ». Zaro tyż starsze dały mu « syra »⁵, potym épily go na zimie, drugie zaczyny na niego przewołać innych i zrobiły « kupe siana ». Dopiro skuńczyła sie ta zobawa, kiej pun naucyciel zaczun dzwunić na nauke. Wojtek Dębowych podniós sie z zimi na ostatku, otarł jake ojcową z błota,

¹ dziewcząt.

² chłopaka.

³ marynarka.

⁴ zlekcewały.

⁵ ścisnąć z dwu stron.

rzucił zeżłunym okim za uciekającymi zbytłownikami i krzyknął za nimi : — Srać na taką szkołę, gdzie buchy wolają ! Obrócił się do nich tyłem i poszedł. Pocięć⁶ kajsiś i wincy go nigdy we szkole nie widzieli. Tak się skuńczyła nauka Wojtka Dębowego. Codziń rano zabirol lamyntorz, rysik i tabliczke, pore kajetów, kawol chleba i ciek do lasu. Kiej słuńce przeszło południe, wrocol do dum. Nie chciały go ludzie, stowarzyszył się z lasem. Zaczyny się oba poznawać i coroz wincy się pulubiały. Znały go już wszystkie drzewa, świrki hunorowe, pod niebo wyrosłe, co się tam na wysokościach szumem koruny samymu ino Panu Bogu spowiadały, znały go i chujki mietlate, i soczyste brzozy białe, i sosnowe chłopstwo leśne, i znachor-jałowiec, i osika, jak kura ciągiem rozgdakana, i dęby — sędziwe praojce, i klony, i buki, co się za panów leśnych miały, a między nimi cało muzyka skrzydlata ptaków rozmaitych, co ją stary kos-organista prowadził.

Kiej ino Wojtek pojod sobie troche, ciek zaro znowu do lasu. Matka bić go chcieli, że nic w chałupie robić nie chce, ale poradził Wojtek na to sposób naleźć : — Miso to uni lubią żyrc. Niech mi ino dadzą oka postawić — zagodoł.

— Złapiesz ta co w oka. Takiżes niezłara...

— Jeszczy uni zoboczą, jaki żył jest niezłara.

Pocięć Wojtek do lasu i po niejakił casie przynioś zajunca. Od ty pory dali mu mama pokój i móg Wojtek hulać do boru, kiej ta ino chcioł.

Rok chybko minuł, obróciło się znowu na drugą jesiń i poszed jak łuńskie-go roku stary Dębowy z Wojtkim pisać go na nowy rok nauki.

Pun naucyciel grzecnie się z chłopym przywitali i strażnie się nad Wojtkim zaczeni litować : — Mielićsie, gospodorzu, sielną bide, widocnie z waszym chłopokim tego roku — zagodoł.

— Bogać ta nie, z dzieciokami zawdy bida — westchnął cińżko łocięć Dębowy.

— Ale jużę mu się, widze, na dobre przeminiło, bo gębe mo jak ksinżyc — spojrzol pun naucyciel na Wojtka, któren zrobił się krasny, kiej ten ćwikłowy burok.

— Nimożna powiedzieć, chłopokowi nic ta nie brakuje...

— Bogu dzinka, Bogu dzinka, ale zmogło go nielicho...

— Niby, ze pysk mu urus... nimóg się jakosiś łocięć Dębowy polapać do cego pun naucyciel przepijoł.

— Niby, ze tak go zmogło, co caluśki rok chorowol i nimóg ni razu do szkoły przyleźć...

Nik by nie chcioł być we skórze Wojtka Dębowego, tyła un od łojca za te zbytłki oberwol. Nie żalowol stary Dębowy rzyminia, ale trudno wolu wodzić, kiej sum nie chce chodzić. Zawdy wincy się Wojtek w boru, niżeli

⁶ szybko poszedł.

w szkole uczył i lepi sie rozumiał na tym, gdzie wiewiórki abo sowy mają młode, niżli na cytoku.

Wyrós z niego chłop niebylejaki, wielgi, ze w kościele prawie do chóru łbym singoł, na ludzi jakosiś spodełba patrzył, że go unikały, ale jeszczy wincy un ich unikoł. Nawet « pochwoluny » mało kumu mówił, ale wiedziały ludzie, że to nie z hunorowości, ino z tego, ze odludek i dzikus był. Stare ludzie powiadają, ze któren przy kościele miszko, tyn z kościoła żyje, a ze Wojtek miszkoł przy lesie, a grontu lichu miol, to żył z lasu. Jakosiś ta przyszło, że zaczena stara Dębowo ciekać do miasta co targ, jak inne gospodynie, cosiś tam żydom nosić. Pewnikiem nie jojka ani masło nosiła, jak drugie, bo nie chowała zadnygo gadu. Dziwowały sie ludzie skroś cego tak lotała, ale rychło sie to wszystko wyświcilo. Zaczeny borowe donosić dziedzicowi, że jakosiś paskud strzyło co nojlepszy gad w lesie. Zaczeny kajś przepadać pikne sarny, odchowane i wykarmiune bez zime, co dziedzic sum bardzo przykazywoł, i dziki, wypasłe żolyndziami, co sie po błotnych chęchach gnieździły, i cyntkowate daniele, którymi sie jaśnie pun przed sąsiadami pyszył, i cingim ktosiś strzyłoł zające, bażanty, dzikie gołymbie, jarzabki i cietrzewie.

Pumstował dziedzic na te szkode, najwincy bez to, ze mu to wielkie polowanie psuło, na które zawdy sielnie sie ślachty zjeżdżało i przykozoł borowym, aby musowo kłusownika złapały. Zaczeny borowe chodzić, i radzić, i nashuchiwać kto ta po lesie strzyło, i caić sie, i wysło na to, że to Wojtek Dębowy tak po lasach pańskich szkoduje. Poślaki były sielne, ale trza było jeszczy tego istnygo⁷ rzeczywiście na paskudztwie przydybać. Cieszyły sie leśne strażniki, że kiej wiedzą kto, to już mają ptoka w sidłach. Złapały przecie letko Walka Orlikowskiego, chociaź sie przed kamratami przechwoloł, ze poradzi borowym grać na nosie, i poszed do kreminalu; złapały Błażka Pająka, i Jadamka Cholewe, i Wicka Swiatłygo, i wszystkie sie, kiej powróciły z kozy, pryndko poradziły ustatkować. Jakosiś straciły ochote na kwaśne dziedzicowe jabka. To tyż i tero, kiej zobocyły leśne ludzie, ze ktosiś im psuje zwirza, zaro sie zmówiły, zeby zrobić obławę. Caiły sie tydziń, dwa i trzy i nic... Tu pukło, tam pukło, ktosiś cingim strzyłoł i wynosił leśną gadzine, ale nie sposób było go przyłapać. Borowym sie kluki⁸ powyciągały. Spostrzegły, że to letko nie pódzie. Dosyc sie ta już napociły, nim poszed pozór na Wojtka Dębowygo. Wiedzieć kto, to dość ta wiele, ale zawdy jeszczy o wela za mało. Trza chwycić złodzieja na gorąco. A tu Wojtek Dymbowy od lisów sie, widać, nauczył lisich chodów. Próbowaly leśne strażniki tak i rozmaicie, caiły sie kole chałupy Wojtkowy, i kole karmisk sarnich w zime, i przy kapuście pod lasym, kaj sie zawdy schodziły zające, i na kaczych stawach, wszystko na nic. Z ciortym samym, mówiły,

⁷ sprawcę.

⁸ nosy.

widać się Wojtek Dymbowy pokumół, bo cheba ino sum ciort poradził go po takich wertepach, chęchach i zadupiach prowadzić, kaj go najść nie było sposób.

Miało się roz na strasznie wielgie polowanie u dziedzica, niby bez to, że przyjechał do niego w goście jakisiś siarczysty pun, jakigo jeszczy tu w tych strunach nie widzieli. Powiadały, co miał to być jakisiś oświecuny, docna taki, co to ino z samym biskupem i nojwinkszym państwem się zadaje, mówili ludzie ze strachym, po cichu między sobą, że to miał być książe, pozwalali go Piechota cy Sapieha, kto ta poradzi dobrze takum wysokum godność rozebrać.

Miał ci tyn straszny pun, co go to Piechota cy Sapieha pozywali, ustrzelić najwinkszygo w dziedzicowych lasach jelynia z rogami, którymi mógłby chłop kiejby broną nojtwardszą zimie włócyć. Uchował sobie dziedzic tego jelynia — wielgasa wedle jakiej osobnej okazji, tak na taką ciekawość i kozoł musowo chodzić kole niego leśnym ludziom, jak baba chodzi kole swoi nojukochańszy jałoszki, cy prosioka, cy dziecioka. Te to rogatą bestyje mieli naganiace wygónić prosto na fuzyją unygo hunorowygo pana.

Najechało się na to polowanie tyła okrutnygo państwa, ze świat!... Zwaliły się du dziedzica już z wieczora, by zaro raniuśko ku borom ruszyć. Dziedzic kozoł się rano wcześni przed gośćmi budzić, ale nim ta chłop od kuni w jego szybe zapukoł, już sum ocucił, ubroł się chybko i wyszed na ganek oboczyć, jaki ta dzień Pon Bóg na te wielką pańską zabawę doł. Spojrzoł sobie ku niebu, na którym się zorze kładły, obejrzał się za wiatrym i zagodoł du się : — Bogu dzinka, niezgorzy, na całkim grzeczny dziunek się mo... Krok jeszczy zrobił ku zajazdowi, żeby lepi wiatru chycić, a tu mu cosis na schodkach ganku zacerniało, cosis rosochatygo, kieby pług wywrócony. Cimnawo jeszczy dość było na świecie, winc pomacoł to cosis.

— Cie... rogi, cy co? dziwowoł się. — O, rany, rogi jelynie. Ludzie na świecie, rogi jelynie ktosis podećpił...

I nagle krew go zalała, bo złożył sobie, skąd się te rogi wzieny, z jakigo jelynia...

* * *

Ledwo się goście do dum rozjechali, kozoł dziedzic wołać du się Wojtka Dębowygo. Na drugi dzień przyszed Dymbowy do dworu i cekoł na ganku, aż pun dziedzic bydą chcieli z nim godać. Kiej ino powiedzieli o tym jaśnie panu, wylecioł zaro do Wojtka. Chwile patrzeli na się oba, a dziedzicym oże trzynśło. Nie doł sobie wcale rynki całować, odepchnął od się chłopa i zaczun :

— Jak między nami jest, to szkoda godać, sum wisz.

— Niby, prosze dziedzica, że nie wim.

— Dej pokój, sum ciort cie ucył i lepi cie naucył niz mnie — przerwoł mu dziedzic — Tyseś jes panym w lesie, cy jo ?

— Niby, ze to wedle lasu...

— Ćpiłeś mi tu na ganek w nocy rogi moigo nojwinkszygo jelynia.

— Jo ćpiłem rogi?...

— Ostow, Wojtek. Nima od ciebie winkszygo cygana na cały świat. Rady żadny na ciebie najść ni moge. Słuchej Wojtek, po złości z tobą nie pódzie. Tak sobie rozwożyłem i życe sobie, żebyś ty mi pilnował lasu. Bydziesz borowym. Dostaniesz niezgorsze pomiszkanie i ordynaryjum i płace, jak drugie. Możesz strzylać, kiej cie najdzie ochota. Co ta zabijesz, pół lo ciebie, pół lo mnie. Dostaniesz jeszczy liberyjum ze srebnymi guzikami i kaśkiet z piórkim, i torbe, i fuzyjom z patronami.

* * *

« Łachy ze srebnymi guzikami, kaśkiet z piórkim, i torba, i fuzyja z patronami »... godoł du sie Wojtek. Tak mu sie to widziało, kiedy go cisiś omamiło. Cygaństwo, nie cygaństwo — dziwowoł sie. Cheba sie dziedzic z niego śmioł, abo go chcioł jakimisiś cygaństwym w sidła ułowić. Docna sie to na gałgaństwo widziało. Wojtek w liberyji ze srebnymi guzikami... ludzie na świecie, tak to docna wychodziło, kiejby sie ciort za organiste podoł. Wojtek do ostatka tymu wszystkimu nie wierzył, ale wnet go znowu do dworu zawołali, gdzie mu rządca przyodziwe wydoł, i kaśkiet galanty, i kozoł mu sie na starą gajówkę za Lisową porębą wyprowadzać. Dali mu rewir po starym Kulawinku, co mu sie łuskiego roku pomarło. Rzungca śmioł sie jakosiś dziwacnie :

— Strzelec żeś jest, można powiedzieć, niezgorszy, to weźmies se rewir Kulawinka. Uwizej, żeby dębiny nie kradli, bo latoś dębina najwincy idzie i ino łani nie strzylej, ani żadny matki od młodych, co do inszych, to tak bydzie, jak ci ta dziedzic mówił. Pół lo ciebie, pół lo dziedzica...

— Hej świecie, świecie... Wyszed ci Wojtek na półpanka. Tak docna mu sie to widziało, kieby sie z dziochą obznyił, co du ni latami nocką cimną lotoł, skrycie przed ludźmi pod pierzyne właził, a tero to kochanie oświećili. — Możesz ta włazić, ile chces, dowoli...

Szed ci Wojtek bez las strasnie hunorowy. Nie chyłkim, nie lisimi chodami, kiej dotychczas, ale prosto, ale głośno, szyroko, zamasyście. Śmiała mu sie gymba od ucha do ucha. Sum sie sobie dziwowoł, że taki downiejszy łachudra móg sie na takigo pana wykierować. — To ci tero bydzie polowanie — plożył sum sobie. Juże cie nie złapią, gymby nie skuja, w więźniu nie obsadzą. To ci tero bydzie polowanie... Świecie, świecie... Juzem cie za giry chycił, jak Pana Boga. Jużeś mój, bez pół... — Pół lo ciebie, Wojtek, pół lo dziedzica — godoł du sie. Straśnie mu sie to podobało, że tak sie z dziedzicym podzielili, że tak sie oba na połowe ugodzili.

Szedł tak bez las docna, kiej we śpiku. Ani nie widziół, kiej mu sie zając z pode kulosów poderwoł, Rynka sama za kurek fuzyji chyciła, ale jakosiś nie strzełił.

— Pół lo mnie, pół lo dziedzica — zamamrotoł. Idź ze sobie bestyjo i tobie zycie miłe.

We krzakach cosiś zachrobotoło. Na dróżce rogac wyskocył i prawie mu ze strachu nogi podcieno. Stanoł kiej wryty i miłosiernie na Wojtka łzawym ślipiem rzucił. Wojtek nie strzełił. Sum sie sobie dziwowoł, ze jakosiś mu sie nie zebralo.

— Pół lo mnie, pół lo dziedzica. Ześ jes mój ino bez pół, to se idź... Jakoś go to źgnęło, kieby nożym w serce. — Oj, lesie, lesie karmicielu, lesie żywiczny, lesie przepastny, lesie rodzicielu, lesie-kumie, lesie spowiedniku — mój ześ był cały, a tero ino bez pół. Pół lo mnie, pół lo dziedzica.

— Pół lo ciebie, Wojtek, pół lo dziedzica — rogacz jakosiś markotno na niego spojrzół, lzy mu sie w oczach zaśkliły i kajsie w kniei przepod.

Załopotalo cosiś ponad łbym Wojtkowym. Poderwalo sie z toków stado bażantów, przefrunyły mu przed nosem prawie, jakby sie śmiały z półpanka.

— Sprzedołeś sie, Wojtek, za dziedzicowe cygaństwo — zafurcały.

— Pół lo ciebie, Wojtek, pół lo dziedzica — pukoł dzińcioł na jodle-samotnicy, na porębie.

— Pół lo ciebie, Wojtek, pół lo dziedzica — przekpiwała wiewiórka, orzechowa przekupa, skakając na sośnie.

— Półpanek, półpanek, półpanek... skrzecały kumy-wrony.

— Łachy nie twoje, łachy nie twoje, łachy nie twoje — gruchały tłuściochy gołymbie.

— I fuzyja, i fuzyja, i fuzyja — dospiewywoł kos.

— Omama, štuki diabelskie — przeciwoł chłop ocy, bo mu sie to wszystko zaczyno kieby jakiesie cary wydawać.

— Nic, ino sprzedołeś sie, Wojtek — zapisała mu do ucha wróblowa chołota całą grumadą.

— Za guziki... — Za piórko... — Za łachy... — Za srebrniki...

— Nic juże nie twoje, wszystko bez pół. I serce bez pół. I słuńce bez pół, i woda i wszystko, cego sie tkniesz, bez pół.

— Patrzcie — dziwowoł sie Wojtek — doskunały targ... Bez pół, bez pół, bez pół... To, co żyło, przecinte, o co przecinte, to żyć nie bydzie, bo do zycio trza, żeby było całe.

— Doskunały targ. Przedać tak od rynki połowe tego, co było całe... Doskunały targ... — śmioł sie Wojtek coroz głośni, coroz strasniej, oże mu ciarki szły bez skóre. Doskunały targ...

* * *

Na drugi dzień, kiej słońce wstało, znalazł dziedzic na ganku liberyją z guzikami, i kaśkiet z piórkim, i fuzyją z patronami. Cosiś złygo go tknyło. Kozoł szukać zaro Wojtka. W dumo go nie było. Obleciały borowe las, nie znalazły. Poszło po wsi, że Wojtek Dębowy kajsis przepod. Porwały się wszystkie ludzie go szukać. Wypatrzyły go nareście kozoki, jak wisioł na własnym rzyminiu od portek na jodle-samotnicy na Lisowej porębie.

Zbiegła się cało grumada. Dziwowały się strasznie ludzie, że się Wojtek Dębowy powiesił z radości bez to, że się z łachudry wy kierował na półpanka.

JANUSZ TEODOR DYBOWSKI.

DRZEWA JAK LUDZIE

Drzewa, jak ludzie mają oczy i uszy —
Stroskane serce i wychudłe dłonie.
Idąc lasami z lękiem w drzewnej duszy,
Jak ludzie myślą o rodzinnym domie.

Drzewa, jak ludzie stoją na deszczu —
— Śpiewny ludek — w sukniach roboczych
I, jak ludzie nie wiedzą, gdzie pod wieczór
Spocząć — gdzie senne zmrużyć oczy.

I, jak ludzie, giną, wyrzucone z lasu
Płynąc przed siebie życia potokiem,
Aby nicości stawszy się pastwą,
Wlec poza sobą wieków tęsknotę.

Po nich, jak po ludziach kiedyś
Z młodymi siłami przyjdą leśne wnuki —
Rękami korzeni przywrą do gleby,
Jak ludzie : sosny, dęby, buki...

Bo wcale nie widzę, aby leśne panny
Mniej były ładne i mniej ponętne,
Albo inaczej pachniały dziewanny
Zapachem święto-przeklętym.

Lecz serce drzewne jest inaczej śpiewne —
Serce głęboko schowane w leszczynach —
A ludzkie bijąc krwiotryskiem gniewnym :
Że nie jest drzewne — drzewa przeklina.

WŁADYSŁAW ŁUCZAK.

POPZREDNIE TOMY PAMIĘTNIKA LITERACKIEGO ZAWIERAŁY :

Tom I — Marzec 1941

1. ARTYKUŁY :

- MALEWICZ (MUSTAFA ALEKSANDROWICZ) : *Wielka Brytania na Bliskim Wschodzie.*
M. MRUK (MIECZYSLAW JOSZT) : *Witraże Mehoffera we Fryburgu.*
TEODOR NAŁĘCZ (JANUSZ T. DYBOWSKI) : *O aktualności poezji wieszczcej.*
JERZY NARBUTT (JERZY GAWENDA) : *Dyplomacja Polski w 1863-1864.*
TADEUSZ PANECKI (DR. TADEUSZ STARK) : *Polska myśl kolonialna.*
J. SANOCKI (ADAM VETULANI) : *Polska i Szwajcaria w rozwoju dziejowym.*

2. WIERSZE :

- JERZY BRZozowski : *Marsz.*
J(ERZY) B(RZozowski) : *Listy ze Szwajcarii :*
 Do brata.
 Do syna.
 Do szwajcarskiej panny.
 Do przyjaciela.
 Do żony.
A(NDRZEJ) C(zyżowski) : *It's a long way :*
 Kartka z pamiętnika.
 Gorzkie wino.
 Opowieść o naszym koledze.
 Taka wojna.
 Piosenka gwizdana pod wiatr.
 Etiuda.

3. PROZA :

- TEODOR NAŁĘCZ (JANUSZ T. DYBOWSKI) : *Bez co Junek Rykala umirać nie chciol.*

Tom II — Lipiec 1941

1. ARTYKUŁY :

- J. KUSZAŃSKI (ADAM VETULANI) : *U podstaw konfederacji szwajcarskiej.*
T. NAŁĘCZ (JANUSZ T. DYBOWSKI) : *Geniusz, który także grał na fortepianie.*
T. NAŁĘCZ (JANUSZ T. DYBOWSKI) : *Mickiewicz w Lozannie.*
J. NARBUTT (JERZY GAWENDA) : *Polacy w Ameryce.*
J. PRZETOCKI (JAN DZIURZYŃSKI) : *Stosunki gospodarcze polsko-szwajcarskie.*
WŁ. TADD. (DR. TADEUSZ STARK) : *Polska pod okupacją niemiecką.*

2. WIERSZE :

- JERZY BRZozowski : *Ave Helvetia.*
 Bunt młodych.
ANDRZEJ Czyżowski : *Na śmierć Paderewskiego.*
J. GAJEWSKI (JERZY KORWIN-PIOTROWSKI) : *W Szwajcarii.*
 Dante w wydaniu polowym.
 Godzinki.
T. ROZBIERSKI (ZYGMUNT ESTREICHER-ROZBIERSKI) : *Książd Schmidt.*

3. PROZA :

- A(NDRZEJ) C(ZYŻOWSKI) : *Noc 22/23 września 1939 r.*
T. JARZĘBSKI (TADEUSZ SZMITKOWSKI) : *Dawne czasy — nowe czasy.*

Tom III — Listopad 1941

1. ARTYKUŁY :

- BEZMIR (BRONISŁAW MIAZGOWSKI) : *O ideo-mit Słowian.*
A(LEKSANDER) B(LUM) : *Dywizja Strzelców Pieszych — rys historyczny.*
M. GLĄZ (MIECZYŚLAW EPSTEIN) : *Rozważania o przyszłej polityce gospodarczej.*
JERZY NARBUTT (JERZY GAWENDA) : *Między państwem liberalizmu a państwem autorytetu.*
T. PANECKI (DR. TADEUSZ STARK) : *Przykład Szwajcarii.*

2. WIERSZE :

- JERZY BRZOWSKI : *Listopad.*
ANDRZEJ CZYŻOWSKI : *Nocny marsz.*
J. GAJEWSKI (JERZY KORWIN-PIOTROWSKI) : *Białe róże.*
Elegia wołyńska.
KRZYSZTOF JAŁOWIEC (MIECZYŚLAW JOSZT) : *Czerwień odrodzenia*

3. PROZA :

- TADEUSZ JARZĘBSKI (TADEUSZ SZMITKOWSKI) : *Obojętne góry.*
ALEXANDER KORCZYŃSKI (ALEKSANDER MELEŃ) : *Krzyż Niepodległości.*
B(RONISŁAW) M(IAZGOWSKI) : *Mgła.*

Tom IV — Maj 1943

1. ARTYKUŁY :

- DR. MIECZYŚLAW EPSTEIN : *Drogi uprzemysłowienia Polski.*
ZYGMUNT ESTREICHER : *Sztuka mówienia wierszy.*
ALEXANDER CZESŁAW MELEŃ : *Polityczna rola Polski w Europie środkowo-wschodniej.*
DR. TADEUSZ STARK : *Geopolityka — próba syntezy.*
LESŁAW WIERCZYŃSKI : *O właściwą rolę partii politycznej.*

2. WIERSZE :

- JERZY BRZOWSKI : *Fiodor Michajłowicz — fragment wiersza o Dostojewskim.*
E(DWARD) C(ROS) : *Sen profesora Wilsona — żart botaniczny.*
ANDRZEJ CZYŻOWSKI : *Nie dawaj miecza szaleńcowi.*
Powrót z przegranej wojny.
Czarna godzina.
Rozmowa z moją gwiazdą.
Wojna i miłość.
MIECZYŚLAW JOSZT : *To było wcześniej niż Walt Disney.*
Basista i czerwony księżyc.
Odjazd.
Maria Magdalena.

WŁADYSŁAW ŁUCZAK : *Wiosna.*
Niedziela i dzieci.
Kamienne kwiaty.
Gotowy do marszu.
Stalowe marzenie.

3. PROZA :

BRONISŁAW MIAZGOWSKI : *Kurier Rządu Polskiego.*
KPT. JAN SZYNDLER : *Dla Twojej chwały (z cyklu Rapsody artyleryjskie).*

Tom V — Czerwiec 1944

1. ARTYKUŁY :

DR. JANUSZ TEODOR DYBOWSKI : *Śladami polskiej utopii (w stulecie « Przedświt »).*
DR. MIECZYŚLAW EPSTEIN : *Perspektywy powojennego ustroju gospodarczego.*
ZYGMUNT ESTREICHER : *O typie ludowej melodyki polskiej.*
✓ STEFAN ŁOCHTIN : *Inteligencja polska XX wieku.*
MIECZYŚLAW SANGOWICZ : *Nie jesteśmy pierwsi.*
TADEUSZ SZMITKOWSKI : *Związki Polski z kulturą Zachodu.*

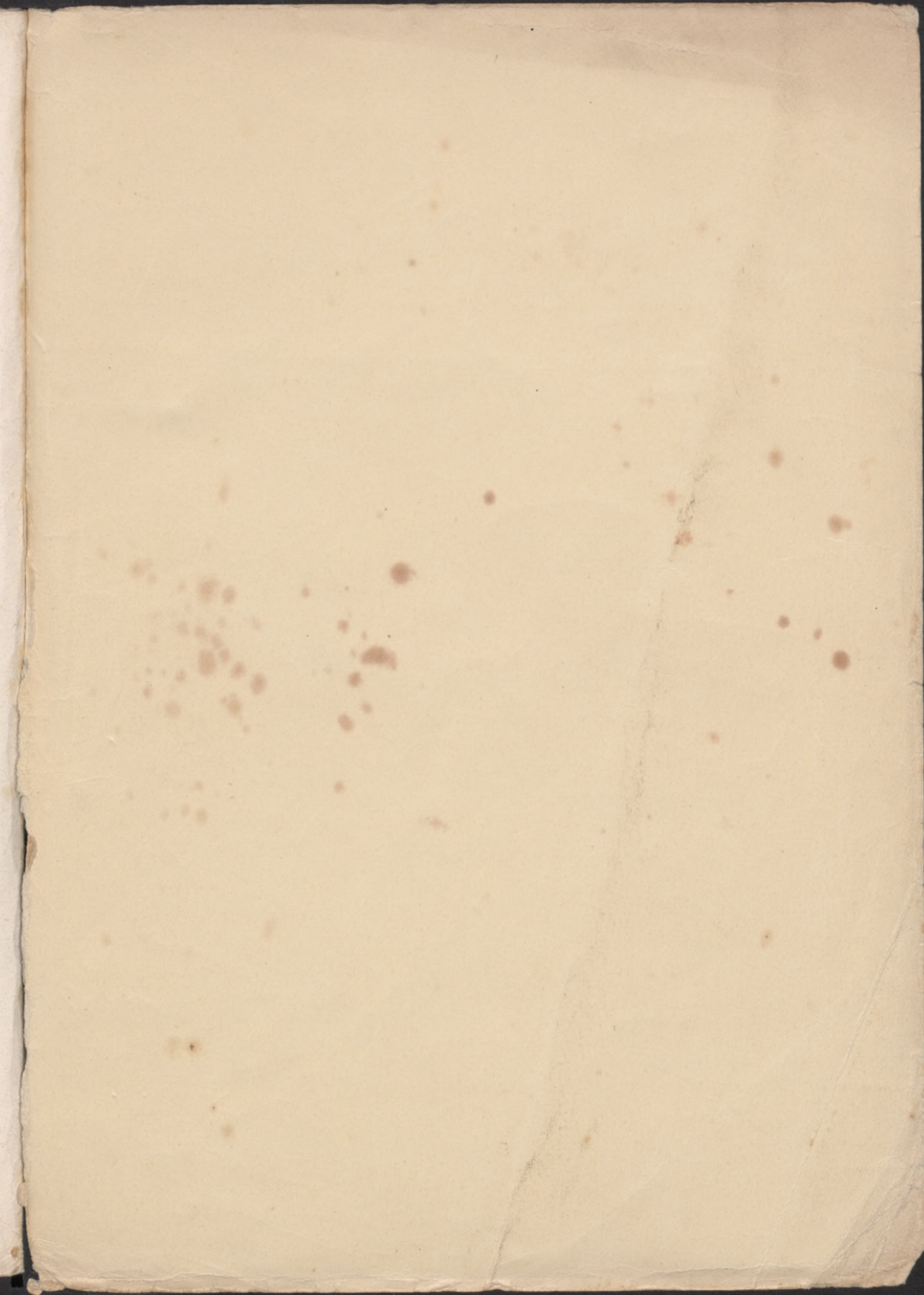
2. WIERSZE :

JERZY BRZOZOWSKI : *Krew i analiza.*
ANDRZEJ CZYŻOWSKI : *Kartka na moich drzwiach.*
Ostatnia jesień.
Wiersz pisany na śniegu.
Słowa z za mgły.
... (ANDRZEJ CZYŻOWSKI) : *Marzenie ściętej głowy.*
C. i Ł. (ANDRZEJ CZYŻOWSKI I WŁADYSŁAW ŁUCZAK) : *Atawizm.*
KRZYSZTOF JAŁOWIEC (MIECZYŚLAW JOSZT) : *Twarz słońca.*
Żebro Boga.
JANUSZ KUCHARSKI : *Broń i popiół.*
Podole.
WŁADYSŁAW ŁUCZAK : *Modlitwa bluźniercy.*

3. PROZA :

ANDRZEJ CZYŻOWSKI : *Co komu pisane.*
JANUSZ TEODOR DYBOWSKI : *Inna droga.*
✓ EUGENIUSZ LUKAS : *Wspomnienia wołyńskie.*
A(LEKSANDER) M(ELEŃ) : *Rektorowi...*

Tomy I i II Pamiętnika ukazały się pod nazwą « Pamiętnik Literacko-Naukowy », począwszy od tomu III wydawnictwo nosi nazwę « Pamiętnik Literacki ». W powyższym zestawieniu treści poprzednich tomów przy artykułach podpisanych pseudonimami podano w nawiasach właściwe nazwisko autora.



Biblioteka Główna UMK



300020931381

